KWartAlnik Górowski

Jesień
(40/2012)

Towarzystwo Ziemi Górowskiej

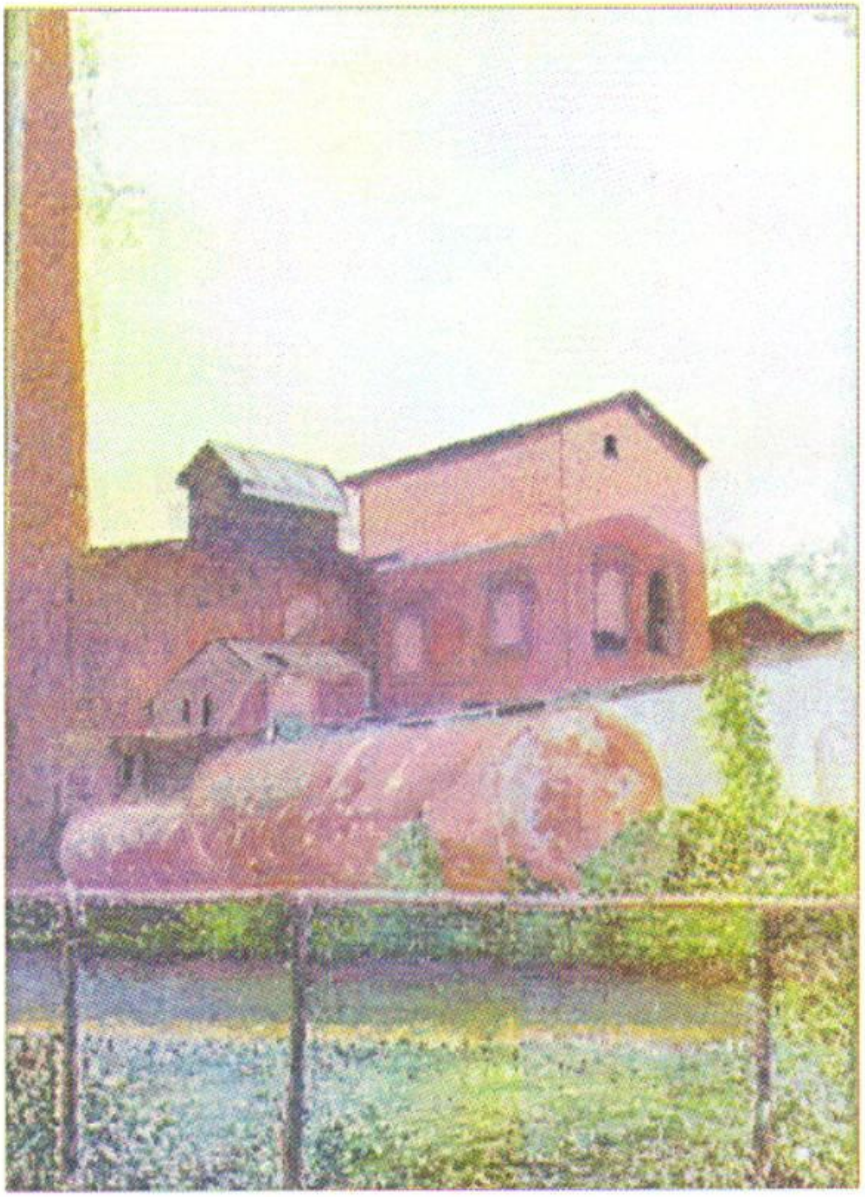

Rys. Bogdan Kaiser

Budynek gorzelni w Irządzach

SPIS TREŚCI

Zbigniew Mikoluk: *Obwarowania miejskie Góry* ..... *s. III*

Brigitte Bulla: *Paul Stankiewicz – (już) słynny malarz z Góry* ..... *s. VI*

Ewa Osuch: *Gorzelnia w Irządzach – czyli odrobina historii o gorzelnictwie* ..... *s. XIV*

Ewelina Kędzierska: *I nikt już nie zaprzeczy,*

że „Matematyka to królowa nauk” ..... *s. XXIX*

Lidia Kaczor: *Antoni Arendarczyk (1940-2012)* ..... *s. XXXVIII*

Mirosław Żłobiński: *Olgierd Stankiewicz (1925-2012)* ..... *s. XL*

Uwaga!
W wersji pdf wkładka fotograficzna jest umieszczona na końcu numeru (strony nieliczbowane).

♣ ♣ ♣ ♣ ♣ ♣ ♣

ISSN 1733-8654

OBWAROWANIA MIEJSKIE GÓRY

Powstanie średniowiecznych murów obronnych w Górze

Ceglane obwarowania miejskie na Dolnym Śląsku zaczęły powstawać bardzo wcześnie. Notabene to właśnie w tym regionie (wówczas senioralnej dzielnicy Piastowskiej Polski) w II poł. XII wieku w Lubiążu, po raz pierwszy na ziemiach polskich, zastosowano cegłę przy budowie cysterskiego klasztoru. W wieku XIV właściwie wszystkie miasta obronne Dolnego Śląska w pokaźnej liczbie 62 (na terenie całego królestwa Kaźmierza Wielkiego było ich dla porównania tylko 43) miały lub budowały zespoły obronne.

Miasto Góra pierwotnie otoczone było pierścieniem wałów obronnych (umocnień drewniano-ziemnych) wraz z fosą. Źródła pisane pozwalają przypuszczać, że miasto utworzono na terenie starszego osiedla. W rozplanowaniu Góry, dość typowym dla lokacyjnych miast Śląska, opartych na szachownicowej siatce ulic, ujętej w owalny obwód umocnień trudno jednak dopatrzeć się śladów przejścia między starym osiedlem a miastem.

Budowę murów miejskich wraz z basztami i ufortyfikowanymi bramami, rozpoczęto po lokacji miasta w latach 1375-1477. Obwarowania miejskie składały się z 12 wież i baszt. We wschodniej i zachodniej części umocnień, na osi głównego traktu komunikacyjnego usytuowano dwie bramy – Bramę Polską łączącą się z drogą do Wielkopolski, oraz Bramę Głogowską prowadzącą do Głogowa.

W momencie obwarowywania miasta, Góra była największym obszarowo miastem na Dolnym Śląsku (ok. 10 ha pow.) zamkniętym murami obronnymi.

Zamek w Górze, wzmiankowany w źródłach od 1409 r., prawdopodobnie zbudowano w miejscu dawnego grodu drewnianego. Warownię w obręb umocnień miejskich włączono przy okazji otaczania Góry. Na XVIII w. rycinie Wernera zlokalizowany jest on w południowo-zachodniej części murów obronnych. Obecnie nie zachowały się żadne ślady umożliwiające dokładną lokalizację.

Likwidacja obwarowań miejskich

W wyniku powstania i rozwoju prochowej broni artyleryjskiej średniowieczne obwarowania miast stopniowo traciły na znaczeniu i ulegały rozbiórce będąc źródłem budulca. Podobny los spotkał mury obronne naszego miasta. W 1770 r. przystąpiono do częściowej likwidacji średniowiecznych murów miejskich. W pierwszej fazie zniwelowano wały ziemnie i zasypano fosę, a uzyskane tereny przeznaczono na ogrody, które wydzierżawiono mieszczanom. W 1818 roku rozebrano wieżę przy Bramie Polskiej, w 1826 zdemontowano furtę południową, w 1828 rozebrano Bramę Polską, a w 1851 r. Bramę Głogowską, zachowując tylko jej wieżę.

Stan zachowania obwarowań miejskich Góry

<u>mury obronne</u>

W dobie fascynacji architekturą średniowieczną (II połowa XIX w.) odtworzono pierwotny przebieg murów obronnych stawiając w ich miejsce mur z zachowanej cegły

średniowiecznej, a w części z nowej cegły, wymiarami zbliżonej do średniowiecznego pierwowzoru.

Wykonane w XIX wieku mury mają grubość jednej cegły oraz są trzykrotnie niższe od oryginału. Widoczne odcinki oryginalnych murów średniowiecznych zachowały się: przy dawnym więzieniu, przy plebanii parafii św. Katarzyny Aleksandryjskiej oraz w pobliżu nieistniejącej Bramy Polskiej (na tyłach dawnej siedziby straży pożarnej). Prawdziwość zachowanych murów miejskich można stwierdzić po czytelnym tzw. „polskim" wątku ceglanym oraz po ich grubości (ok. 1m).

<u>baszty i wieże</u>

- wieża Bramy Głogowskiej

Jak wcześniej wspomniano, stanowiła zabezpieczenie wjazdu do miasta od strony drogi w kierunku Głogowa. Jest najlepiej zachowanym elementem średniowiecznych obwarowań miasta. Na elewacji widoczne są trzy fazy rozbudowy obiektu, od pierwotnej z nakryciem w formie płaskiego, drewnianego pomostu bojowego do XIX-wiecznego przykrycia w formie czterospadowego dachu. Wewnątrz wieży zachował się oryginalny podział na kondygnacje, prawdopodobnie o przeznaczeniu mieszkalnym dla załogi broniącej bramy. W II połowie XIX wieku w wieży przebito otwór w formie gotyckiej dla ruchu pieszego oraz umieszczono w nadbudowanej części zegar.

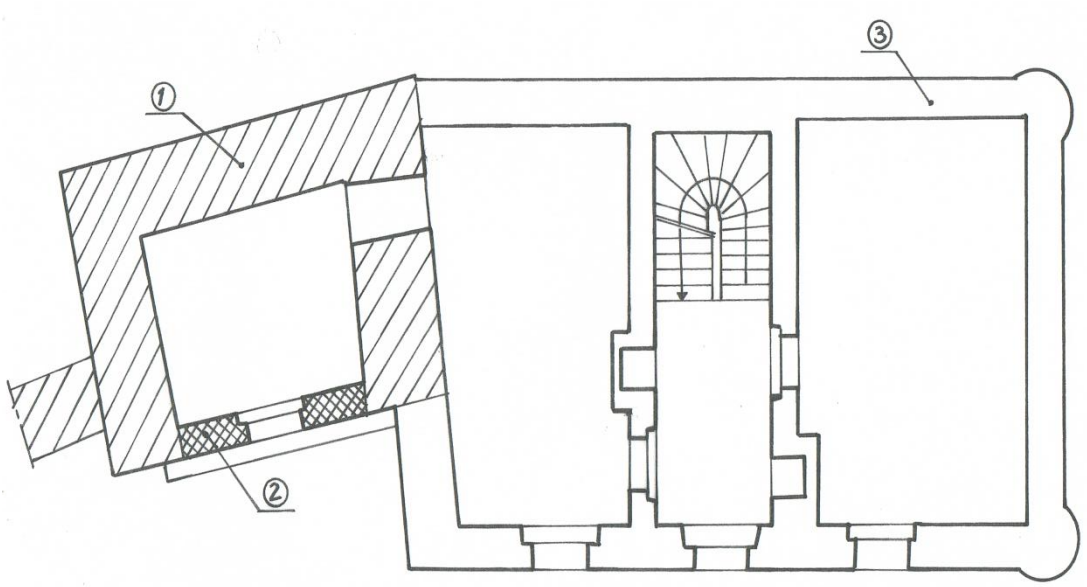

- Wieża Murarska

Obiekt zlokalizowany jest przy ulicy Staromiejskiej 4 w południowo-zachodniej części miasta.

Obiekt powstawał w różnych okresach czasu. Najstarsza część (nr 1 na rysunku powyżej) powstała w końcu XIV wieku, w trakcie budowy murów miejskich, jako baszta łupinowa. Jej obroną miał zajmować się cech murarzy, stąd była nazywana Wieżą Murar-

ską (niem. *Mauerturm*). W wieku XIV w. basztę podwyższono do dzisiejszej wysokości, nakryto dachem oraz uzupełniono o ścianę od strony miasta (nr 2).

W XIX w. dobudowano do istniejącej baszty budynek, który wraz z nią pełnił funkcję miejskiego więzienia (nr 3).

- baszta przy zbiegu ulic Staromiejskiej i Wolności.

Trzecim zachowanym obiektem jest jedna z baszt, a dokładnie dolne partie jej murów. Jest to baszta łupinowa (bez ściany zamykającej od strony miasta). Obecnie w obrębie jej murów znajduje się parking oraz śmietnik. Jest to najgorzej zachowany z obiektów fortyfikacji miejskich.

W przypadku tej baszty można by było w przyszłości wykonać rekonstrukcję na podstawie np. ryciny F. B. Wernera oraz zachowanej Baszty Murarskiej będącej bliźniaczą budowlą. Podobnie można postąpić z niektórymi fragmentami murów obronnych. Takie rozwiązanie konserwatorskie zastosowano w wielu miastach np. Wrocław, Głogów, Wschowa, Wołów. Zachowane obiekty obwarowań miejskich są dla otaczającego krajobrazu miejskiego dokumentem historycznym i jego „legitymacją rodowodową".

Zbigniew Mikoluk

♦ ♦ ♦ ♦ ♦ ♦ ♦

PAUL STANKIEWICZ – (JUŻ) SŁYNNY MALARZ Z GÓRY

W 2010 r. Brigitte Bulla wydała książkę „Auf den Spuren von Paul Stankiewicz 1834-1897" (Śladami Paula Stankiewicza 1834-1897), stanowiącą plon jej poszukiwań dotyczących niemieckiego malarza urodzonego w Górze. Jednak wtedy nie wiedziała o istnieniu górowskich dzieł Paula Stankiewicza. Przygotowując kolejną książkę na jego temat, uznała, iż nie może jej napisać nie widząc Góry i jego tutejszych prac. Pozostaje ona w kontakcie z Marcinem Błaszkowskim, lekarzem z Leszna pracującym w Görlitz, który się nią opiekował podczas jej wizyty w Polsce. Początkowo odwiedziny w Górze zaplanowano na 15 września, ale nieoczekiwane okoliczności je uniemożliwiły. Brigitte Bulla wraz z mężem, pod opieką Marcina Błaszkowskiego przybyła do Góry 20 października.

Pobyt w Górze składał się z dwóch części – zwiedzania Góry śladami Paula Stankiewicza i spotkania z górowianami; w zwiedzaniu towarzyszyły nam, bo piszący te słowa był w tej grupie, fotograf Waldemar Warciarek, którego zdjęcia B. Bulla zabrała ze sobą oraz dziennikarz Rafał Makowski, który zrelacjonował wizytę w „Panoramie Leszczyńskiej".

B. Bulla najpierw obejrzała tzw. patelnię, czyli miejsce, gdzie górowscy Niemcy obchodzili święto dzieci. Następnie oglądała kapliczki Drogi Krzyżowej na cmentarzu parafialnym, kapliczkę po kapliczce, otwierała drzwi i uważnie przyglądała się obrazom. Wg niej są to dzieła Paula Stankiewicza. Zadumała się nad grobem niedawno zmarłego Olgierda Stankiewicza, który ku jej żalowi nie miał nic wspólnego z „jej" Stankiewiczem.

Dokładnie obejrzała Święte Schody i kościół Bożego Ciała. Nie kryła swego zachwytu i podziwu dla malowideł Paula Stankiewicza w kaplicy nad Świętymi Schodami (tzw. ratusz Piłata). Potem skierowała się do kaplicy grobowej znajdującej się między kościołem i murem. Jej wnętrze przypomina skład rupieci, a ona dostrzegła w niewyraźnych malowidłach rękę Paula Stankiewicza, choć brakowało jego podpisu, podobnie rzecz ma się z kapliczkami Drogi Krzyżowej, podpisane zostały jedynie prace w ratuszu Piłata. Poszła również do kościoła św. Katarzyny, gdzie Paul Stankiewicz został ochrzczony.

O godzinie 15.00 Brigitte Bulla spotkała się z górowianami w siedzibie Fundacji Pomocy Szkole im. Edwarda Machniewicza, którą udostępniła Elżbieta Skoczylas. Wśród gości byli m.in. nauczyciele, regionaliści oraz Andrzej Rogala, zastępca burmistrz Ireny Krzyszkiewicz. B. Bulla wygłosiła odczyt „Paul Stankiewicz – (już) słynny malarz z Góry", najpierw wygłosiła początek w języku niemieckim, z kolei Marcin Błaszkowski odczytał całość w języku polskim. Odczyt był ilustrowany zdjęciami. Następnie głos zabrał Marcin Błaszkowski, który mówił na temat najstarszego przewodnika po Górze. Pod koniec XVIII w. bogaty mieszczanin leszczyński Victor Zadik Honorius wojażował po Śląsku i swe wrażenia opisał w kilku artykułach. Jeden dotyczący Góry opublikował, reszty – nie, bo czasopismo, dla których były przeznaczone, upadło. M. Błaszkowski ten

tekst przetłumaczył z języka niemieckiego i zamierza go opublikować. Obiecał, że wtedy odwiedzi Górę, promując tę publikację. Uczestnicy spotkania mogli otrzymać tekst odczytu oraz płytkę z audycją „Victor Zadik Honorius - »Podróż obcego z Polski do Śląska«" przygotowaną przez Telewizję Leszno. Lektorami byli Maciej Kostyk i Dawid Jaworski. *(M.Ż.)*

Poniżej publikujemy odczyt Brigitte Bulli w tłumaczeniu Grażyny Krzyżanowskiej i Agnieszki Juraszek-Solisch. Z przyczyn technicznych i prawnych nie możemy opublikować ilustracji, które towarzyszyły odczytowi. W związku z tym poniższy tekst został nieznacznie zmieniony.

Szanowne Panie i Szanowni Panowie!

Jestem niezmiernie szczęśliwa z możliwości dzisiejszego spotkania z Państwem, co zawdzięczam panu dr Marcinowi Błaszkowskiemu, z którym już od ponad roku pozostaję w kontakcie. W międzyczasie zostałam już Państwu przedstawiona.

Od 1945 roku mieszkam w Wilhelmshaven na wybrzeżu Morza Północnego. Mam 72 lata i pozostaję w związku małżeńskim od ponad 50 lat. Jestem matką dwóch synów i babcią trzech wnuczek. Przed 7 laty zaczął się jeden z najbardziej ekscytujących etapów mojego dotychczasowego życia. Mianowicie, badanie twórczości, do tej pory zupełnie nieznanego, malarza o nazwisku Paul Stankiewicz. Intensywne poszukiwanie, tysiące małych części puzzli, niezliczone kontakty z wieloma interesującymi osobowościami z różnych części tego świata były potrzebne do tego, aby zrekonstruować życie zapomnianego artysty.

Cofnijmy się do roku 2005. Powodem moich poszukiwań stał się obraz ołtarzowy „Zmartwychwstanie Chrystusa" z Garnizonowego Kościoła Chrystusa w Wilhelmshaven, a więc z mojego miasta rodzinnego. W 1926 roku to dzieło sztuki zostało wymienione na inny obraz i „Zmartwychwstanie Chrystusa" Stankiewicza zawisło w jednej z bocznych części empory w południowym skrzydle naszego kościoła. Właściwie tak naprawdę to dopiero w roku 2005, podczas wystawy „Zobaczyć Boga" w Wilhelmshaven, wymowa wspomnianego obrazu ołtarzowego uświadomiła mi, iż zawiera on w sobie wszystko to, czego oczekuję i upatruję od mojego kościoła: Siłę, Dobroć, Ciepło, Miłość, Nadzieję i Pocieszenie. Nie mogłam zrozumieć dlaczego w naszym kościele poświęca się tak niewiele uwagi temu obrazowi.

Wielu z nas miało na pewno już w dłoni pędzel, ale musicie Państwo przyznać sami, że aby móc tak malować stopy, trzeba mieć ukończoną uprzednio dobrą szkołę. To, co bardzo urzekło mnie na widok tego obrazu, jest trudne do opisania. Odkryłam po jakimś czasie i dostrzegłam przy spoglądaniu na nasz obraz, że wszystkie obrazy Paula Stankiewicza promieniują mocą ciepła i dobroci, więc zajęcie się tym artystą stało się dla mnie bezwarunkowo konieczne.

Podczas poszukiwań dzieł Stankiewicza pomogła mi przyjaciółka, która od wielu lat mieszka w Wilhelmshaven, ale dorastała we Wrocławiu i tam również studiowała. Z internetu wyszukiwała mi odpowiednie adresy właściwych muzeów w Polsce i z jej pomocą nawiązałam ze wszystkimi muzeami pisemną korespondencję. Każdorazowo do listów zostały dołączone zdjęcia obrazu z kościoła. Cztery tygodnie później z Muzeum

Narodowego w Warszawie otrzymałam list z różnymi informacjami. Najważniejszą informacją było to, iż Paul Stankiewicz w 1868 roku dzieła swe wystawiał w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Wkrótce przeczytałam w Leksykonie Artystów Böttichera, że niektóre obrazy Stankiewicza znajdują się w innych miastach. Niebawem zadzwoniła do mnie pewna znajoma, informując, że podczas serfowania w internecie natrafiła na stronę kościoła Świętego Piotra i Pawła w Poczdamie, którą powinnam zaraz sobie obejrzeć. Kiedy zobaczyłam ścienne malowidła wnętrza kościoła, oniemiałam, gdyż strona internetowa tegoż kościoła zawierała informację, że malowidła umieszczone na absydach są autorstwa Paula Stankiewicza. Nic nie mogło mnie już powstrzymać, postanowiłam, że muszę zobaczyć ten kościół.

Wizytę w Poczdamie połączyłam naturalnie z wizytą w Archiwum Akademii Sztuk Pięknych, skąd w międzyczasie otrzymałam informację, że w rzeczywistości Paul Stankiewicz nie tylko w 1868 roku, lecz również w 1862 i 1874 tam właśnie wystawiał swoje prace. Później pomogła mi pewna pani z ewangelickiego archiwum kościelnego. Od niej uzyskałam wskazówkę, aby szukać artysty w rejestrze meldunkowym, który posiada informacje dotyczące ludności w Berlinie i który jest opublikowany w internecie.

Rzeczywiście tam odnalazłam „mojego" artystę. Po tygodniowym poszukiwaniu adresów, pod którymi zamieszkiwał i późniejszych mieszkań, Archiwa Kościelne poświadczyły, że Paul Stankiewicz urodził się 19 kwietnia 1834 roku, a zmarł 28 kwietnia 1897 roku i został pochowany na starym cmentarzu Schöneberg. Tam ponownie poszukiwałam jego śladów, kamienia nagrobnego lub w ogóle jakiegoś grobu. Niestety bezskutecznie. Również dom w Berlinie-Schöneberg, w którym ostatnio mieszkał, był nie do odnalezienia. Został w czasie II wojny światowej zbombardowany. Potem pomógł mi profesor Börsch-Supan, profesor Wolnego Uniwersytetu Berlina, ekspert w dziedzinie sztuki XIX wieku, który skierował mnie do swojej koleżanki pani dr Lubos Kozieł z Uniwersytetu Wrocławskiego. Zebrane przez nią informacje przekazała mi w 2006 roku podczas spotkania we Wrocławiu.

Informacje te zawiera list, który napisał artysta w roku 1860 do biskupa książęcego Förstera. Förster był w tamtym czasie znanym promotorem młodych artystów. Dzięki jego pomocy Stankiewicz mógł studiować w latach 1860-1862 w Rzymie. Jak później odkryłam, według wszelkiego prawdopodobieństwa Stankiewicz przyłączył się do grona Nazaretanów, gdyż w Rzymie poznał on Petera von Corneliusa (Piotra z Korneliuszów), z którym potem, po jego powrocie z Rzymu, już do końca życia utrzymuje kontakt. W liście z 1860 roku do biskupa książęcego Förstera Stankiewcz wspomina również o miejscu swojego urodzenia.

Moja znajoma zwróciła się do Archiwum Diecezjalnego we Wrocławiu i uzyskała akt chrztu Stankiewicza, potem nawet metryki jego siostry i matki. Dokumenty dotyczące ojca nie zostały znalezione w Archiwum. Wychodzę więc z założenia, że być może ojciec w pewnym okresie udał się na wędrówkę zwaną *Walz* i osiadł w Górze na stałe, ojciec był bowiem z zawodu rzemieślnikiem – ślusarzem.

Paul Stankiewicz wyrastał w ubogich warunkach. Pomimo jego już wcześniej rozpoznanych uzdolnień artystycznych nie mógł pozyskać finansowego wsparcia. Po odbytej nauce zawodu malarza pokojowego oraz kilku latach bycia czeladnikiem, dzięki oszczędnościom, przenosi się w roku 1856 do Berlina w celu podjęcia tam studiów.

W ciągu tych lat doświadczeń stopniowo w życiu Stankiewicza doskonali się jego strona artystyczna i wizerunek.

W drugiej części mojego odczytu zaprezentuję Państwu obraz, który w międzyczasie odkryłam. Właściwie nie byłam przygotowana na kolejne znaczące odkrycia, ale w listopadzie 2009 roku znalazłam w tajnych archiwach miasta Berlina dwa dokumenty. Jeden z dokumentów dowodzi, iż artysta Stankiewicz w przeciwieństwie do dotychczasowego przekonania, wykonał samodzielnie projekty do malowideł wnętrz kościoła Świętego Piotra i Pawła w Poczdamie. Dotychczas przyjęto, iż muszą one pochodzić z rąk wielkiego Petera von Corneliusa (Piotra z Korneliuszów). Potem znalazłam w aktach 3 oryginale zdjęcia, które zostały wykonane około XIX wieku. Pokazują one oryginalnie przez Stankiewicza namalowane absydy.

Te ważne odkrycia przyczyniły się również do tego, że prezentacja mojej książki mogła odbyć się w tym przepięknym kościele.

Kontynuując dalej, w tajnych archiwach państwowych są dostępne akta, które dostarczają informacji, iż artysta został odznaczony Rycerskim Krzyżem Orderu Odrodzenia Korony Włoskiej. Okazją do przyznania orderu był obraz króla Włoch, jako podarunek w podzięce za zaproszenie, wręczony w roku 1873 cesarzowi Wilhelmowi I podczas wizyty państwowej w Berlinie. Portret wymagał pewnej poprawki i wykonanie tego zlecenia powierzono Stankiewiczowi znającemu język włoski. Zlecenie to musiało sprawić mu wiele radości, gdyż po państwowej wizycie króla Emanuela sam wysłał obraz do Włoch. Niestety, podczas mojej wizyty w Rzymie obrazu nie odnalazłam. Jak się dowiedziałam, prywatna królewska kolekcja obrazów została przeniesiona około roku 1900 do Mediolanu.

Teraz pragnę Państwu zaprezentować obraz Stankiewicza – całość absydy Kościoła Świętego Piotra i Pawła. Ten Dom Boży znajdziecie Państwo w samym sercu Poczdamu przy Bassinplatz. Kopuła namalowana w stylu nazareńskim ukazuje w pierwszej kolejności: Boga Ojca, Chrystusa, Marię i Józefa.

Wszystkie postacie zostały namalowane na złotym tle. Lewą absydę ozdabiają wizerunki proroków. Atanazy Wielki (zm. w roku Pańskim 373) był arcybiskupem i patriarchą Aleksandrii. Hieronim (zm. w roku Pańskim 419) jeden z najbardziej uczonych mężczyzn swojej epoki. Przetłumaczył Biblię z języka hebrajskiego oraz greckiego na łacinę. W centralnej absydzie lewą stronę rozpoczyna Ewangelista: Marek z apostołem, Piotr z widocznym po prawej stronie apostołem, Paweł i Ewangelista Łukasz. W prawej części absydy widnieją nauczyciele Kościoła: Grzegorz Wielki – urodzony w roku Pańskim 540; w roku 590 wybrany na papieża. Zmarł w roku 604. Był jednym z najbardziej wybitnych papieży, zaliczany do grona czterech znających łacinę doktorów Kościoła późnego antyku. Augustyn – żył w latach 354-430, został wyświęcony na kapłana w roku 391, był biskupem w Północnej Afryce.

Teraz opiszę Państwu kościół Świętego Mikołaja w Deutsch Krone w Zachodnich Prusach z około 1900 r., dzisiejszym Wałczu w Polsce.

Nazwę Deutsch Krone miasto to nosiło do 1945 roku. Na zdjęciu niewyraźnie widać wspaniałe malarstwo absyd. Stary obraz ołtarzowy w Garnizonowym Kościele Chrystusa w Wilhelmshaven przypomina obraz ołtarzowy z Wałcza, który niestety już nie

istnieje. Natomiast jeszcze cztery inne obrazy Stankiewicza zdobią ten Boży Dom. Są to: Maria ze Świętym Dominikiem, Józef i Jezus, Święty Wawrzyniec, Święty Mikołaj.

W Brandenburskim Archiwum w Poczdamie odnalazłam w pewnych aktach adnotację, że Stankiewicz, tak jak w 1870 roku wymalował wnętrze Kościoła Świętego Piotra i Pawła w Poczdamie, podobnie w 1866 roku wymalował wnętrze kościoła w Wałczu. Tę informację natychmiast przekazałam kierownictwu kościoła w Wałczu. Spotkanie z panią Lubos-Kozieł we Wrocławiu przyniosło jeszcze następne niespodzianki. Wręczyła mi dwie kopie śląskich kościelnych gazetek z lat 1882 i 1885. W każdej z nich była zawarta wzmianka o dwóch obrazach. Jedna z gazetek przedstawia obraz Świętej Jadwigi, który niestety dotychczas nie został odnaleziony.

Kolejna informacja dotyczy pewnego obrazu przedstawiającego książęcego biskupa Roberta Herzoga, który wcześniej pełnił funkcję proboszcza w kościele Świętej Jadwigi w Berlinie, a potem został przeniesiony do Wrocławia. Ten obraz znajduje się dzisiaj w Szpitalu Świętej Jadwigi w Berlinie. Dokumenty pochodzące od pani Lubos-Kozieł dostarczają szeregu dodatkowych informacji o obrazach, między innymi o obrazie „Pociecha przy łóżku chorego". Jednakże innych nie udało się odnaleźć.

W takim razie opowiem Państwu o portretach, które artysta wykonał na zamówienie dynastii cesarskiej. Jeden z nich ukazuje portret „Wielkiego Księcia Elektora" i jest częściową kopią według Nasona. Był to portret na zamówienie, którego namalowanie cesarz Wilhelm II po swojej wizycie w Emden zlecił Stankiewiczowi w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Nawet synom cesarza Wilhelma II pozwolono przyglądać się podczas malowania portretu. W depozycie w Emden istnieje jeszcze dzieło przedstawiające cesarza Wilhelma II. Obraz ten Stankiewicz sprzedał osobiście. Córka Fürbringera, ówczesnego nadburmistrza miasta Emden, przebywała z wizytą w Berlinie. Zarówno z nią, jak i z nadburmistrzem Stankiewicz wraz z żoną Alwiną utrzymywał przyjacielskie kontakty. Córka Fürbringera zakochała się błyskawicznie w obrazie i tak doszło do jego zakupu.

Dwa eksponaty, które właściwie również należą do Wschodniofryzyjskiego Krajowego Muzeum w Emden, znajdują się w charakterze stałego depozytu na Zamku Wernigerode położonym w Harzu. Jeden z eksponatów to portret cesarza Wilhelma I, drugi natomiast przedstawia portret 99-dniowego cesarza Fryderyka III. Obraz przedstawiający cesarza Wilhelma I znajdował się w latach 1936-2011 w depozycie Galerii Narodowej w Berlinie. Poprzednie miejsce eksponatu jest do tej pory nie znane. Obecnie obraz posiada swoją lokalizację w Muzeum Pruskim w Wesel.

Mogę Państwu powiedzieć, że portret przedstawiający postać w całości cesarza Wilhelma I znajdował się z dużym prawdopodobieństwem w zbiorach profesora Carla Graeba (zm. w 1884 roku). Carl Graeb został mianowany w 1851 roku na nadwornego malarza i od roku 1855 pełnił funkcję królewskiego profesora, a od 1860 roku był profesorem na Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Po śmierci syna w roku 1892 zbiory profesora Carla Graeba zostały zlicytowane w domu aukcyjnym Lepke w Berlinie.

W internecie można znaleźć na stronie domu aukcyjnego artprice wgląd do przebiegu aukcji. Tutaj można uzyskać informacje o licytacjach obrazów. Dowiedziałam się o pięciu aukcjach, na których obrazy Paula Stankiewicza zmieniały swoich właścicieli. Oprócz danych o portretach z dynastii cesarskiej wymienia się tutaj również obrazy

„Świętej Rodziny" i „Mężczyzny z brodą". Niestety, do tej pory, pomimo usilnych starań, udało mi się uzyskać zaledwie niewiele informacji i żadnych nowych. Natomiast dom aukcyjny z Monachium okazał się bardzo pomocny i przysłał mi odbitkę bardzo pięknego portretu cesarza Wilhelma I. Obecnie w Fundacji Zbiorów Graficznych w Berlinie znajduje się heliografia, która przedstawia cesarza Wilhelma II. Ze Sztokholmu otrzymałam e-mail wraz ze zdjęciem w załączniku. Była tam również wiadomość o licytacji obrazu przedstawiającego cesarza Wilhelma I. W Muzeum Żeglugi w Bremerhaven znajdziecie Państwo przepiękny portret z roku 1881. Na portrecie widnieje książę Henryk, brat cesarza Wilhelma II. Kolejny portret przedstawia byłego dyrektora Instytutu Geodezyjnego, generała dywizji, profesora Beayera. Obraz znajduje się w Instytucie Geodezyjnym w Poczdamie. Był on zaprezentowany w 1892 roku wraz z naukowymi dokumentami podczas światowej wystawy w Chicago. W kościele w Kilonii wisiał do około 1930 roku obraz, który został ufundowany przez Paula Stankiewicza. Powodem tego było zatonięcie pancernika „Großer Kurfürst" (Wielki Książę Elektor). Statek „Großer Kurfürst" został zbudowany w 1875 roku w cesarskiej stoczni w Wilhelmshaven. W 1878 roku, tuż u wybrzeży Anglii z powodu błędu w sterowaniu doszło do zderzenia z jego siostrzanym statkiem „König Wilhelm" (Król Wilhelm) i zatonięcia jednego z nich. 284 żołnierzy straciło życie. Bliscy ofiar, którzy nagle pozostali bez pomocy finansowej, zostali wsparci przez dochód ze sprzedaży tegoż dzieła. Niestety obrazu nie udało się odnaleźć.

Pragnę podzielić się z Państwem jeszcze jedną wskazówką odnośnie innego obrazu. Otóż w katedrze w Poznaniu musiałby znajdować się jeszcze jeden obraz przedstawiający kanonika. To dzieło sztuki, które odkryłam po mojej prezentacji, zostało zaprezentowane w 1874 roku w Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie. Podczas wielu lat poszukiwań brakowało mi w szczególności jednego obrazu. Nigdzie nie mogłam odkryć obrazu, na którym artysta prezentuje samego siebie.

Chcę przekazać teraz Państwu, bo nie chciałabym, żeby mi to umknęło, kilka szczegółów dotyczących jego wydawnictwa. Ze świadectwa pracy mogłam wyciągnąć wniosek, że artysta powołał do życia wydawnictwo, które około trzech lat po jego założeniu prowadzone było przez jednego z dyrektorów i istniało jeszcze długo aż po XX wiek. W wydawnictwie drukowano przede wszystkim prace naukowe, papiery wartościowe, prace doktorskie. Dla Instytutu Geodezyjnego w Berlinie Stankiewicz drukował wszystkie wyniki badań i publikacje. Niemal 300 różnorodnych wydań z tego okresu znajduje się jeszcze w archiwach Biblioteki Państwowej w Berlinie.

Przy opracowaniu mojej książki pomagał mi profesor Köhler z Uniwersytetu w Tybindze. Jest on ekspertem w zakresie historii kościołów na Śląsku. Od niego też otrzymałam szereg informacji o przypisach w książce. W dalszej drodze pomógł mi pan Bobka. Pan Bobka jest emerytowanym zastępcą dyrektora szkoły, mieszka w Bochum, tam też uczył w liceach Goethego i Einsteina. Tak jak Paul Stankiewicz urodził się tutaj w Górze (Guhrau) i w tym mieście zdał maturę. To on polecił mi lektury, które dostarczyły mi obszernych informacji o jego kraju rodzinnym. I mogą mi Państwo wierzyć, wszystkie je przeczytałam!

Prezentacja mojej książki miała miejsce w czerwcu 2010 roku w Kościele Świętego Piotra i Pawła w Poczdamie. Kościół zalicza tę prezentację do najbardziej wyjątkowych wydarzeń roku 2010.

„Zmartwychwstanie Chrystusa", ten stary obraz ołtarzowy w naszym kościele znalazł się na drodze do restauracji w grudniu 2010 roku. Bogactwo kolorów, jakie sobą teraz reprezentuje, mogłam już dostrzec, kiedy po raz pierwszy świadomie się mu przyjrzałam.

Szanowni Państwo, w tym miejscu skończyły się moje tematy wcześniejszych wykładów, jednakże już we wrześniu 2011 roku wydarzenia zmieniły się jak w kalejdoskopie. W marcu tego roku otrzymałam pewną wiadomość z Uniwersytetu w Kilonii. Przysłano mi zdjęcie znanego badacza i chemika Karola Filipa Sprengela. Paul Stankiewicz otrzymał zamówienie na namalowanie jego portretu pośmiertnego. W kilka dni później w ogłoszeniach obraz ten znalazłam w dawnej Akademii Nauk Rolniczych w Poczdamie. Ale o największej sensacji z dotychczasowych moich badań dowiedziałam się we wrześniu 2011 roku. Dom aukcyjny artprice wysłał mi e-mail, iż w Waszyngtonie będzie licytowany obraz Stankiewicza „Autoportret artysty" z 1859 roku. Nareszcie doczekałam się pożądanego przeze mnie obrazu. Dzieło to odgrywało dla mnie istotnie ważną rolę i dzięki mojemu siostrzeńcowi, który mieszka w Nowym Jorku, mogłam wylicytować ten obraz. Obraz przedstawia Górę Kalwarię z jej kaplicą Bożego Ciała i Drogę Krzyżową. Na pierwszym planie z prawej strony widnieje artysta przy sztaludze. Poza tym obok przypuszczalnie przedstawiona została jego siostra, ojciec bądź mąż siostry, a z lewej strony ksiądz Cogho, który go ochrzcił i później wspierał.

I również dlatego dzisiaj jestem tutaj.

Wszystkie stacje Drogi Krzyżowej posiadają do dziś obrazy olejne. Wszystkie obrazy na czternastu stacjach Drogi Krzyżowej odrestaurowywał w 1859 roku Paul Stankiewicz. Stankiewicz opisał tę restaurację w swoim liście do biskupa książęcego Förstera w 1860 roku. Do października 2011 roku nie wiedziałam, że kościół w Górze posiada Święte Schody. Wtedy Marcin [Błaszkowski] przesłał mi przepiękne zdjęcia z wnętrza kościoła, a także z wnętrza Świętych Schodów. Potem z wrażenia nie mogłam już po nocach prawie w ogóle spać, tak cieszyłam się na ten dzisiejszy dzień. Od tego momentu było dla mnie jasne, że to Stankiewicz przeprowadził w 1886 roku odnowienie i odmalowanie Świętych Schodów kościoła.

Musimy na nie (Święte Schody) spojrzeć.

Szanowne Panie, szanowni Panowie, rada jestem, że nareszcie mogę być tutaj. Problemy zdrowotne utrudniły mi wcześniejsze zapoznanie się z bogactwem Państwa kultury. To, co już wcześniej wiedziałam, zawdzięczam mojemu mężowi, który urodził się w 1838 roku w Jauer obecnie Jawor i tak jak ja, musiał znaleźć nową ojczyznę.

Na zakończenie pragnę jeszcze powiedzieć: Jakim wielkim szczęściem obdarza nas Europa. Niech na zawsze będzie dany naszym narodom pokój.

Serdecznie dziękuję za Państwa uwagę i raz jeszcze kieruję podziękowania dla Marcina [Błaszkowskiego].

Brigitte Bulla

Przy stole siedzą: Brigitte Bulla i Marcin Błaszkowski, fot. M. Żłobiński

Brigitte Bulla w kaplicy nad Świętymi Schodami, fot. M. Żłobiński

GORZELNIA W IRZĄDZACH –
CZYLI ODROBINA HISTORII O GORZELNICTWIE

Od alchemika do gorzelnika

Gorzelnia to niewielki zakład przemysłu rolnego, którego celem jest produkcja spirytusu. Zanim jednak doszło do budowy pierwszych gorzelni musiało minąć wiele czasu. Napoje alkoholowe są bowiem znane od początku istnienia ludzkości. Za wynalazcę sposobu przyrządzania wina Grecy uważali boga Bachusa; według wierzeń Egipcjan alkoholowy napój z chmielu wymyślił bóg Ozyrys. Indyjskie baśnie ludowe podają, że twórcami napojów alkoholowych byli bogowie Waruna i Sura. Znaleźli oni w dziupli drzewa sfermentowaną mieszaninę wody deszczowej i owoców, które opadły. W ten sposób pierwsi poznali odurzające właściwości tego płynu.

Za najstarsze napoje alkoholowe uważa się miód pszczeli rozcieńczony wodą i poddany samorzutnej fermentacji oraz wino. Dopiero marzenia alchemików i pasje dziewiętnastowiecznych wynalazców doprowadziły do produkcji jednego ze słowiańskich cudów – czystej wódki.

Pierwsze rysunki przedstawiające proste aparaty destylacyjne można spotkać w rękopisach egipskiej Szkoły Aleksandryjskiej. To właśnie w Aleksandrii, mieście wiedzy tajemnej w III wieku naszej ery pierwsi alchemicy – Zosim z Panapolis i Maria Żydówka zgłębiali tajniki destylacji. Po islamskiej inwazji na Egipt tajemnice przemiany substancji przejęli alchemicy arabscy, uzyskując z palenia wina oszałamiającą substancję. W Chinach już w VII wieku produkowano wódkę z ryżu, ale w Europie nic o tym nie wiedziano. Dopiero w końcu XII wieku zaczęto z wina produkować lekarstwo, zwane *aqua ardens* (woda paląca) i *adua vitae* (woda życia). Inny alchemik, Magister Salernus, żyjący w tym samym czasie, produkował *aqua vitae* z zacierów zbożowych. Skonstruował prosty aparat destylacyjny i opisał, w jaki sposób wino, a potem także żyto przemienić można w „wodę ognistą". *Jeśli odpowiednio ogrzejesz wino, ulotnią się z niego łatwopalne opary, które po skropleniu staną się napojem działającym bardziej oszałamiająco, niż inne znane dotychczas alkohole.* Ulatniające się opary nazwano „duchem wina" – spirytusem. Gdy w 1195 roku wyprawa Henryka VI, cesarza niemieckiego, zniszczyła Salerno, uczeni opuścili miasto i ponieśli tajemną wiedzę w świat.

Już w XIV wieku produkcja mocnych trunków przestała być tajemnicą alchemików i stała się jednym z rzemiosł rozpowszechnionych najpierw w zachodniej i południowej Europie, a w XV wieku w Europie Środkowej. Ceny napojów spadły, a spożycie wzrosło, mimo że przestano wierzyć w lecznicze działanie „wody życia". Znany uczony medyk i astrolog Paracelsus, jako pierwszy porównał „wodę życia" do delikatnego proszku, służącego arabskim elegantkom do szminkowania oczu, określając *adua vitae* jako *al.-kuhl* – coś delikatnego, wykwintnego, subtelnego. Tak narodziło się współczesne i powszechnie dziś używane słowo alkohol. Niewielu zdaje sobie sprawę, że korzenie nazwy sięgają kilkaset lat wstecz w świat haremów i latających dywanów.

Z perspektywy historycznej

W Polsce gorzelnie zbożowe istnieją już od XV wieku. Były to gorzelnie bardzo małe, produkujące okowitę (ze zniekształconej nazwy łacińskiej – *aqua vitae*) o stężeniu ok. 30% alkoholu. Według statutu Jana Olbrachta z 1546 r., każdy mieszkaniec kraju miał swobodę wyrabiania i sprzedawania trunków. Dopiero w wyniku ustawy z 1572 r. spotykamy się ze zjawiskiem „propinacji" – wyłącznego prawa pana do produkcji i sprzedaży trunków chłopom zamieszkującym w obrębie jego dóbr. Przestępstwem było korzystanie z „cudzej karczmy", a karą było osadzenie w dybach lub gąsiorze. W XIX w. stopniowo znoszono propinację: w zaborze pruskim w 1845 r., w Galicji w 1889 r., w zaborze rosyjskim w 1898 r. Już w pierwszej połowie XIX wieku zmieniła się radykalnie technika gorzelnicza. Rozpoczęto budowę gorzelni murowanych. Wzrósł też autorytet i znaczenie dobrego majstra gorzelnika. W okresie Królestwa Kongresowego powstała w Marymoncie k/Warszawy pierwsza szkoła rolnicza, w której kształcono gorzelników. W 1875 r. Poznańskie Towarzystwo Gospodarcze rozpoczęło kształcenie gorzelników dla terenów Wielkopolski i Pomorza, a w kilka lat później w Dublanach k/Lwowa powstała szkoła gorzelnicza, czynna aż do wybuchu II wojny światowej.

W 1836 r. w Galicji czynnych było 4981 gorzelni, w Królestwie Polskim w 1844 r. – 2094 gorzelnie. Nową sytuację stworzyło wprowadzenie opodatkowania produkcji wódki, tzw. akcyzy. W efekcie doprowadziło to do upadku mniejszych gorzelni i ograniczyło powstawanie nowych. W 1910 r. ogółem na terenie odpowiadającym późniejszym obszarom II Rzeczypospolitej istniało 2500 gorzelni.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. na ziemiach Polski było ok. 1000 gorzelni, większość była zdewastowana wskutek działań wojennych. Problemem była też różnorodność aparatury, która pochodziła z różnych fabryk w trzech zaborach. Druga wojna światowa przyniosła nowe zniszczenia. Należało uruchomić 1500 gorzelni, z czego część była w stanie zupełnej ruiny lub poważnej dewastacji. Polski Monopol Spirytusowy powstał w 1919 r.- prowadził wszystkie sprawy dotyczące produkcji oraz sprzedaży spirytusu i wódek, w tym cen. Po II wojnie światowej Monopol został przekształcony w Centralny Zarząd Przemysłu Spirytusowego. Nadzór nad produkcją i sprzedażą zaczęło sprawować Ministerstwo Finansów poprzez funkcjonariuszy Szczególnego Nadzoru Finansowego. Produkcja spirytusu była najbardziej rentowną gałęzią przemysłu, z którego państwo czerpało olbrzymie dochody. Największy dochód z monopolu spirytusowego – jak podaje Wojciech Kołodziej – miał miejsce w 1946 r. – 53% wpływów do budżetu, podczas gdy np. w 1976 r. odsetek ten stanowi ok. 14 %. a w 1994 – 12%.

Gorzelnie w powiecie górowskim po 1945 r.

W 1945 r. w powiecie górowskim było 20 gorzelni, w tym 19 rolniczych i jedna – w Psarach – przemysłowa. Wszystkie gorzelnie były nieczynne z powodu dużych zniszczeń wojennych, na skutek wywiezienia urządzeń gorzelniczych, jak również braku opału i surowca. Na początku 1946 r. rozpoczęto renowację pięciu gorzelni, pozostałe wymagały kapitalnego remontu. W Górze Urząd Ziemski uruchomiono już 17 czerwca 1945 r. Od tej chwili poszukiwano specjalistów do uruchomienia zakładów, w tym gorzelni. Równocześnie w Bydgoszczy prowadzone były kursy i szkolenia dla prowadzących gorzelnie i majątki ziemskie. W 1946 r. naczelnym szefem, odpowiedzialnym za gorzelnie

w województwie wrocławskim był pan Pietraszewski, który współpracował ze starostami powiatów. Ściągnął on m.in. fachowców do gorzelnictwa. W 1946 r. przybył na teren powiatu górowskiego w celu uruchomienia gorzelni w Luboszynie (obecne Witoszyce) – Roman Łabaziewicz. Wcześniej był on administratorem majątku Nawra na Pomorzu, który należał do Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Do Góry przyjechał chętnie, mieszkała tutaj bowiem jego siostra (pracowała w Cukrowni) i szwagier (wykładowca greki i łaciny w LO Góra). Oto urywek listu z 16 listopada 1946 r.

A tu jak na złość przyjechała władza
I po gorzelni się trochę przechadza
Z Góry, Wrocławia, też i z Legnicy
Inżynier, Inspektor, jacyś kierownicy
Wszystko znajomi jeszcze z Wrocławia
Pytają jak się sprawa przedstawia.
Kiedy pan ruszy, w jakim terminie?
I jak się pan czuje w tym Luboszynie?
/……/
Czwarty to był pan Pietraszewski
To szef na cały powiat wrocławski
Na wszystkie gorzelnie w tym województwie
Stoi na czele w naszym dowództwie…

Kazimiera Łabaziewicz (żona) wspomina ten okres tak: *pracę mąż zaczynał od poszukiwania szyb do okien, desek na drzwi, murarzy. Z Kończewic k/Nawry, z Pomorza ściągaliśmy fachowca do uruchomienia agregatu, był to Jan Krzyżanowski. W tym czasie światło w pałacu już było, ale w gorzelni jeszcze nie. Części były ściągane z innych gorzelni, ale w większości wykonywali kowale według rysunku męża. W późniejszym czasie – od 1949 r. w Warszawie były już wydawane tzw. „Praktyczne wskazówki dla kierowników gorzelni". Tam były szczegółowe rysunki i obliczenia dla poszczególnych części i urządzeń, ale początkowo nie było nic. Problemem był też transport urządzeń. Gorzelnia była już gotowa w 1947 r. ale oficjalne otwarcie i ruch pełną parą był na początku 1948 r. Pierwszym dyrektorem majątku w Luboszynie był pan Lipiński. Pod niego podlegały okoliczne majątki. W każdą sobotę przyjeżdżali kierownicy, aby ustalić prace rolne na kolejny tydzień. W Luboszynie byliśmy z panem Lipińskim do maja 1948 r. W tym czasie męża ściągnięto do uruchomienia kolejnej gorzelni w Irządzach, a na miejsce pana Lipińskiego przyjechał nowy Administrator ze swoim gorzelnikiem.*

W kampanii 1945/46, 46/47 i 47/48 gorzelnie były spółdzielcze i nie zapewniały sobie planowego zaplecza surowcowego. Zaopatrzenie gorzelni odbywało się drogą zakupów wolnorynkowych i z tego powodu nie mogło być mowy o dokładnym planowaniu produkcji, jak również o sporządzeniu realnego preliminarza kosztów produkcji. Stworzenie zaplecza surowcowego nastąpiło dopiero w kampanii 1948/49 przez zawieranie umów plantacyjnych na ziemniaki dla gorzelni.

W pierwszym kwartale 1948 roku na terenie powiatu górowskiego zostały uruchomione dwie gorzelnie: w Borasinie (obecnie Borszyn Wielki) i w Luboszynie.

Z dniem 1 lipca 1949 Uchwałą Rady Ministrów Państwowe Nieruchomości Ziemskie zostały przekształcone w Państwowe Gospodarstwa Rolne. Powstała nowa organizacja rolnictwa państwowego. W tym okresie powołano Zespoły PGR: w Naratowie,

Wąsoszu i Zaborowicach. Państwowe Gospodarstwa Rolne ziemi górowskiej w roku 1949 przejęły 16 gorzelni, z tego czynne były:

– do 1951 roku: Bronów i Ślubów,

– przez 40 lat i nadal do likwidacji PGR-ów: Bełcz Wielki, Irządze, Witoszyce, Czernina Górna i Wąsosz. Na skutek wywiezienia urządzeń gorzelniczych lub dużych zniszczeń zlikwidowaniu uległy gorzelnie: Szedziec, Zaborowice, Wroniniec, Chocieborowice, Czeladź Wielka, Lubiel, Lubów, Wierzowice Małe i Zdziesławice.

Gorzelnia Irządze

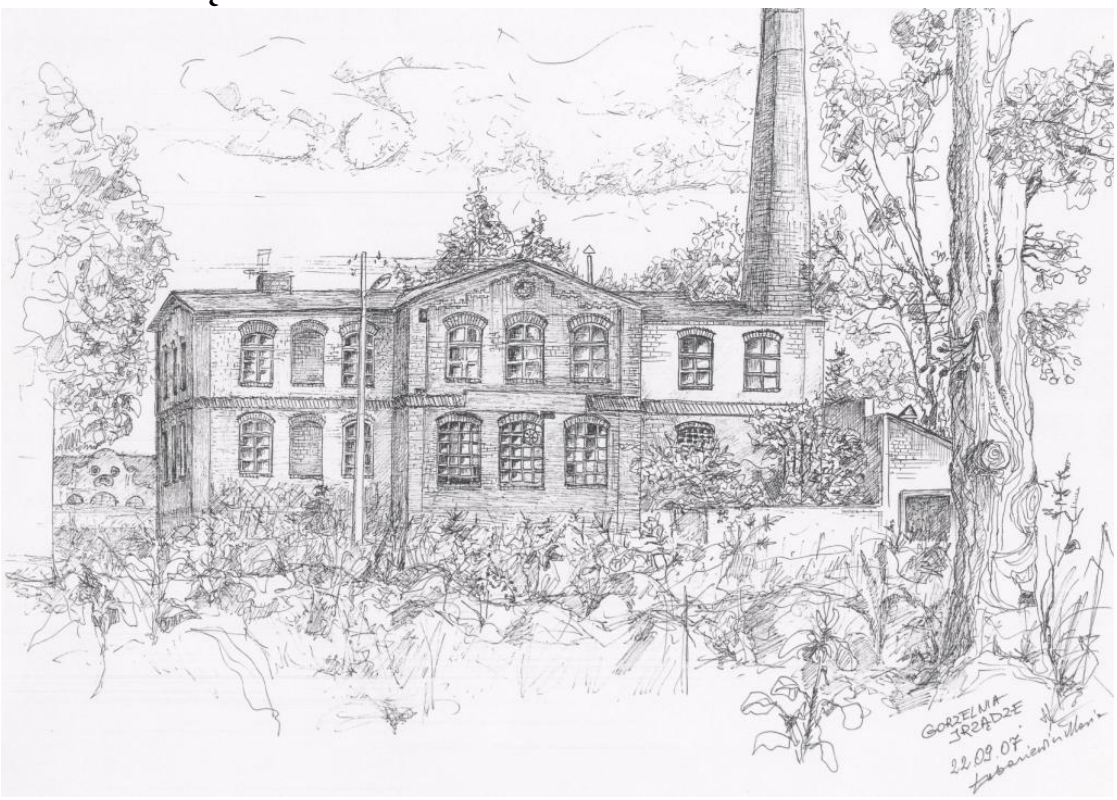

Rys. Maria Łabaziewicz

Jadąc aleją lipową z Luboszyc do Irządz na wprost wyłania się budynek gorzelni. Jest to budynek dwukondygnacyjny, wzniesiony w formie kilku brył przyległych do siebie, o różnym kształcie i wielkości, z dostawionym w części zachodniej wysokim kominem. Ściany z cegły o wątku krzyżowym, nieotynkowane. Budynek ten z dniem 18 czerwca 1993 r. decyzją Państwowej Służby Ochrony Zabytków Oddział Wojewódzki w Lesznie został wpisany do rejestru ochrony zabytków pod nr 1423/A jako następujące dobro kultury: *budynek gorzelni z II poł. XIX wieku usytuowany w pn. części podwórza folwarcznego w Irządzach, gmina Jemielno*. W uzasadnieniu czytamy: *budynek z zachowanym układem przestrzennym, architekturą oraz bryłą jest przykładem obiektu przemysłowego z poł. XIX wieku związanego z tradycjami gorzelnictwa – stanowiącym dobro kultury wymagające trwałego zachowania*. W chwili obecnej figuruje w rejestrze zabytków w Dolnośląskim Wojewódzkim Urzędzie Ochrony Zabytków we Wrocławiu.

Obmiary gorzelni Irządze:
Powierzchnia ogółem – 914 m^2
W tym : kotłownia – 48 m^2
Mieszkanie – 96 m^2
Magazyn spirytusu – 6/13 = 78 m^2
Płuczka spławiak – 12/15 = 180 m^2
Hala główna – 13,5/7,5 = 101 m^2
Strych, zbiorniki z wodą – 13,5/7,5 = 101 m^2
Fermentacja – 16/9 = 144 m^2
Magazyn zbożowy – 16/9 = 144 m^2
Parnik, klatka schodowa, hol – 5/5 = 25 m^2
Razem: 773 m^2

Mieszkanie – 96 m^2
Biuro, pokój służbowy, hol – 45 – m^2
Razem: 141 m^2

Pracownicy gorzelni, lata 70.: Roman Łabaziewicz – kierownik gorzelni, Jan Gnat, Piotr Szarek, Zygmunt Sawicki, Wacław Korgul

Gorzelnia w Irządzach przed 1945 r. należała do właściciela, wybudowanego na początku XIX wieku, barokowego pałacu. Budynek gorzelni powstał w 1880 roku, obok kuźnia z 1900 roku (całkowicie zlikwidowana w grudniu 2010 r.) oraz budynki gospodarcze (również wyburzone). W skład gorzelni wchodziła wagownia konna z wagą wozową – wybudowana w 1910 r., istniejąca do dnia dzisiejszego. Gorzelnia jako zakład nie działała już w latach trzydziestych XX wieku.

Do odtworzenia historii gorzelni w Irządzach zaprosiłam moją Mamę – Kazimierę Łabaziewicz, która pracowała w gorzelni przez wiele lat, a jej mąż, mój Tato – Roman Łabaziewicz, uruchomił i tworzył ten zakład od podstaw. Mam nadzieję, że ta forma pozwoli oddać wiernie atmosferę pierwszych lat zasiedlania tych terenów i warunków, w jakich organizowali życie i tworzyli miejsca pracy

Ewa Osuch – Jak to się stało, że przyjechaliście właśnie do Irządz?

Kazimiera Łabaziewicz – Do Irządz przyjechaliśmy na rok, a zostaliśmy do dzisiaj. W gorzelni mieszkałam przez 60 lat od maja 1948 r. do maja 2008 r. Po wojnie mąż przebywał u siostry na Pomorzu. Dostał pracę jako Administrator w majątku Nawra, a ja byłam tam księgową. W Urzędzie Ziemskim dopatrzono się, że pracował w gorzelni Drozdowice k/Przemyśla, a później w gorzelni Piekary k/Krakowa. Zaproponowali więc wyjazd na Ziemie Zachodnie, aby uruchomić gorzelnię. W 1946 roku przyjechał do Luboszyna (obecne Witoszyce), gdzie uruchomił gorzelnię. Po uruchomieniu zakładu w 1948 r. mieliśmy wracać na Pomorze. Wówczas przyjeżdżali z Wrocławia i ze Starostwa w Górze, aby jeszcze został i może uda mu się uruchomić jeszcze jedną gorzelnię na terenie powiatu. Często przyjeżdżał ktoś z Luboszyc i namawiał. Tłumaczyli, że mieszkanie jest przy gorzelni, trzeba tylko odebrać klucze. Bez wcześniejszego sprawdzenia pojechaliśmy. Mieliśmy parę podstawowych mebli (leżanka, krzesła, stół) wzięliśmy trochę ziemniaków i podstawowych produktów i traktorem z Witoszyc przyjechaliśmy do Irządz. Jechał z nami mój brat Edmund (który też był później gorzelnikiem w Posadowicach k/Wrocławia). Mieliśmy ze sobą trzymiesięczne dziecko. Jechaliśmy rozglądając się dookoła, tereny były piękne, był maj, wszystko było zielone, kwitły drzewa. Mijaliśmy rzekę Barycz, dookoła lasy. Kiedy wjechaliśmy w aleję lipową w Luboszycach byliśmy pod urokiem. Gorzelnia widoczna z daleka wyglądała imponująco. Kiedy zajechaliśmy na podwórze gorzelni cały urok prysł. Był tam stawek, a wokół stosy szkła i desek. Była tam jakaś stodoła, może wiata czy wozownia, w którą trafiła bomba. W budynkach dookoła była pustka, w podwórzu nie było śladu ludzi, w większości nie było drzwi i okien lub wisiały na zawiasach bez szyb. Po prawej stronie stał czołg. Przed szkołą budynek zniszczony od działań wojennych, mnóstwo gruzu. Na wsi sporo chat jeszcze krytych strzechą. Domy wyglądały tragicznie, ale przed każdym domkiem był ogródek, kwitły kwiaty i mnóstwo bzu. Nie było prądu, nawet nie było słupów. Widocznie światło było wcześniej tylko w pałacu na agregat. Na wsi kilka osób już mieszkało – Jan Kloziński, Zygmunt Zienkowicz i Jan Rodzewicz. Wszyscy chodzili z lampami naftowymi. Kiedy otworzyliśmy drzwi do mieszkania gorzelni byliśmy przerażeni, tam nic nie było. Dach zniszczony, nie było żadnych drzwi (tylko te wejściowe na klucz), okna wszystkie wybite, pełno szkła i brudu, nawet ramy okienne wyszarpane. Podłogi na dole w pomieszczeniach były powypalane od ognisk. Widocznie grzali się przy nich żołnierze. Jedyna rzecz sprawna to piece kaflowe, które były w pomieszczeniach na górze. Byłam przerażona – powiedziałam, że

wracam natychmiast na Pomorze – nie będę wychowywała dziecka pod strzechą i bez prądu, miałam wrażenie, że cofnęłam się o cały wiek. Póki co musieliśmy jednak zanocować, bo robiło się ciemno. Mąż biegał po wsi i chciał wynająć pokój. Nikt nie chciał, ludzie byli nieufni, każdy się bał obcych. W końcu, ze względu na maleńkie dziecko, na parę dni zgodził się mnie przyjąć Zygmunt Zienkowicz, ale tylko mnie z dzieckiem, pod warunkiem, że mam własną pościel. Mąż z bratem zrobili sobie legowisko w magazynie w gorzelni. U państwa Zienkowicz mieszkałam z dzieckiem trzy dni. W tym czasie mąż z bratem w budynku obok gorzelni (obecnie nr 18) oszklili dwa okna, resztę zabili deskami, naprawili kuchenkę, zbili z desek drzwi. Postanowiłam wówczas, że zostanę tu najwyżej rok, więc jak chce robić tę gorzelnię to daję mu tyle czasu. W tym domu mieszkaliśmy do grudnia 1948 r.

E.O. – Gorzelnia była zdewastowana, brak większości urządzeń. jakichkolwiek narzędzi, PGR-y powstały dopiero w lipcu 1949 r. więc kto wykładał pieniądze na te remonty?

K.Ł. – Od 1945 do 1948 gorzelnie były spółdzielcze. Występowały pod nazwą „Spółdzielcza Gorzelnia Rolnicza". Gorzelnia Spółdzielcza była pod stałym nadzorem technicznym wykonywanym przez Zrzeszenie Przedsiębiorstw Gorzelni Rolniczych (skrót „Zgorol"), a pod względem gospodarczym i organizacyjnym pod opieką Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Na Spółdzielnię można było dostać pożyczkę. Na gorzelnie dawali natychmiast, bo pieniądze z produkcji szybko się wracały. Problem z Irządzami polegał na tym, że w Luboszycach nie było jeszcze Gminnej Spółdzielni. Byli ludzie, którzy już działali, ale brak było dokumentów. Mąż chcąc załatwić pożyczkę na gorzelnię, musiał najpierw założyć GS. Do Zarządu GS-u wybrano Nikodema Rodzewicza, Alfonsa Książcia, a prezesem był pan, którego nazwiska nie pamiętam, ale był tylko kilka dni. Po nim funkcję objął Kazimierz Leciejewski, który był prezesem przez kilka lat. Księgową była Olena Błaszczyk. Mając dokumenty GS-u, mąż przygotował kosztorys i pojechał do Warszawy załatwiać pożyczkę.

E.O. – Do takich remontów potrzebni byli fachowcy z różnych dziedzin i materiały. Skąd ich brał?

K.Ł. – Mąż już miał rozeznanie z gorzelni w Witoszycach. Głównie byli to ludzie którzy mieli prywatne zakłady, ale w większości mieszkańcy tych terenów tzw. „złote rączki", którzy potrafili wykonywać różne prace. Po takim doświadczeniu w Witoszycach załatwianie szło już bardzo szybko. Prace rozpoczęto od naprawy dachu, były to głównie deski i smoła, bo te materiały były dostępne. Równocześnie wzięto obmiary na drzwi, okna i podłogi, to robił Tadeusz Pleśniak z Luboszyc, który był prywatnym stolarzem. Wszystkie wagi do gorzelni: wagę wozową, dziesiętną do spirytusu i wagę do skrobi wykonywał Antoni Smoczyk, który miał prywatny zakład ślusarski w Lesznie. Był to zakład rodzinny ze specjalnością budowy i naprawy wag. Przyjeżdżał do nas każdego roku. Był ojcem tego słynnego żużlowca – Alfreda Smoczyka, który był najbardziej popularnym sportowcem w tych latach, porównywalnie jak teraz Adam Małysz (zginął tragicznie w 1950 r.). Dzięki niemu mieliśmy bilety na żużel. Wybraliśmy się na finał indywidualnych mistrzostw Polski, ale to było jeszcze na boisku Sokoła przy ul. Strzyżewickiej (teraz jest tam „Akwawit"). Wybrałam się w białym kostiumie, usiadłam w pierwszym rzędzie (jak w teatrze), na samym zakręcie żeby lepiej widzieć. Po pierw-

szym okrążeniu byłam cała zakurzona, kostium był czarny, a z włosów wybierałam żużel przez trzy dni. Mąż prosił, aby się przesiąść, ale ja nie miałam pojęcia o żużlu i się zaparłam na ten pierwszy rząd. Od tej chwili już mnie żużel nie interesował. Z Rudnej k/Lubina przyjeżdżał taki pan „złota rączka", który dorabiał wiele rzeczy w gorzelni. Widział jak w ciąży piorę pieluchy na tarze. Nie mógł na to patrzeć. Opowiadał jak sobie zrobił pralkę, więc mąż u niego zamówił. Jak przyjechał kolejny raz – przywiózł mi pralkę wirnikową, którą sam zrobił w warsztacie. Była to skrzynia drewniana, obita wewnątrz blachą, był wirnik, który był poruszany silnikiem (chyba od traktora albo młockarni, bo strasznie głośno chodził). Pralka miała też wyżymaczkę. Zanim więc w sklepach były dostępne pralki „Franie" – ja już miałam w tych latach ogromne ułatwienie. Fachowe aparaty były ściągane z całej Polski, mąż jeździł po całej Polsce i załatwiał, np. kocioł parowy z Sosnowca, pompy tłokowe z Grudziądza, a parniki z Brzegu. Wszystko zależało od roku, w którym to było zamawiane. W latach sześćdziesiątych, kiedy były już POM-y, większość była zamawiana w Nowogardzie – w POM-e. Tam była odlewnia żeliwa szarego, która przyjmowała zamówienia na wszelkie odlewy do gorzelni, płatkarni i winiarni. Po ziemniaki wysokoskrobiowe na kontraktacje jeździł aż do Koszalina.

E.O. – Z lat pięćdziesiątych pamiętam beczki drewniane, kąpaliśmy się w nich jak nie było jeszcze łazienki.

K.Ł. – Początkowo wszystkie beczki i kadzie były drewniane: 4 kadzie fermentacyjne, 4 kadzie drożdżowe – obowiązkowo dębowe. Do zacieru były kadzie 500 litrowe, do transportu spirytusu 100 litrowe. Beczki robili kołodzieje, których było sporo w powiecie górowskim. Faktycznie początkowo kąpaliśmy dzieci w tych kadziach w gorzelni, bo tam była gorąca woda i przenosiliśmy w kocach do łóżek. Gorzelnia była połączona z mieszkaniem więc nie było problemu. Łazienka była zdecydowanie później i prysznice dla pracowników też.

E.O. – Woda w gorzelni była? Czy też trzeba było kopać studnie?

K. Ł. – Przy gorzelni była studnia, ale jak zrobili próbny rozruch okazało się, że wody zabrakło. Trzeba było pogłębiać. W końcu woda była do celów produkcyjnych. Pamiętam jak się cieszyłam z tej wody, że nie trzeba będzie daleko nosić, ale jak zamoczyłam pieluszki to wszystkie zrobiły się brązowo- pomarańczowe, tak duże było zażelazienie. Nadal więc wodę do picia nosiliśmy ze studni obok szkoły (tam była najlepsza), a do prania od Władysława Drozdy. Nową studnię głębinową wywiercili w 1952 r., kiedy gorzelnia należała do PGR. Wtedy to zrobiono przepompownię i płuczkę w spławni. W tych latach PGR zagospodarował obory w podwórzu gorzelni dla bydła, więc woda musiała być w większej ilości.

E.O. – Aparatura była, woda też więc już gorzelnię uruchomiono?

K.Ł. – Potrzebne były jeszcze ziemniaki wysokoskrobiowe za którymi jeździł do Koszalina. Organizował zebrania wśród gospodarzy, aby zakontraktowali ziemniaki i zdawali do gorzelni, ustalane były terminy zwózki, bo początkowo jeszcze gorzelnia nie kopcowała ziemniaków. Każda gorzelnia miała wyznaczone miejscowości z których może brać ziemniaki. Pod Irządze podlegały wsie: Irządze, Ciechanów, Lubów, Chorągwice, Luboszyce. Luboszyce Małe, Masełkowice, Kietlów, Osetno Małe i Osetno. W późniejszych latach Osetno i Osetno Małe odłączono od gorzelni w Irządzach. Początkowo skup był tylko od gospodarzy, ale kiedy były PGR-y, to i tak większość była od chłopów.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych na skup np. 1000 ton: 700 było od gospodarzy, 300 ton z PGR-ów. Kolejny etap to zatrudnianie pracowników do gorzelni, szkolenie ich (bo przecież nikt się na tym nie znał). Kiedy już mąż przeszkolił wszystkich, wówczas przyjeżdżała komisja z Wrocławia i składali egzamin. Dostawali zaświadczenia ukończenia kursu i zezwolenia na pracę jako: aparatowy, słodowy, płuczkowy, palacz kotłów wysokociśnieniowych, zacierowy itp. Cały czas jeździł do Legnicy i ponaglał o założenie prądu, a do Ścinawy o uruchomienie kolei towarowej, aby odstawiać spirytus. To wszystko było załatwiane równocześnie, ale kolej i elektryfikacja wsi była już jak gorzelnia działała.

E.O. – Nie było prądu, więc jak pompowali np. spirytus do beczek?

K.Ł. – Bez prądu to była tragedia. W gorzelni pracowali przy lampach naftowych. Szkło od lamp pękało od pary. Wszystko w gorzelni było uruchamiane ręcznie, wodę też czerpali wiadrami ręcznie ze studni, dlatego jeden zacier trwał 8 godzin. Spirytus do odstawy pompowali pompami ręcznymi (coś takiego jak drezyna ręczna), mówili na to „moja-twoja". Trzeba było zatrudniać ze wsi dodatkowych ludzi – 4. do pompowania i 6. do węża. Tu było najwięcej chętnych. Ustami ściągali z węża spirytus do każdej beczki i pompowali. Mieli zakaz połykania, mieli wypluwać. Mąż krzyczał, a oni pukali po czole: *Panie toż to grzech wypluwać takie dobro*. Mąż się denerwował, bo się bał, aby się któryś nie zachłysnął, w końcu to spirytus 90%. Były przygotowane furmanki konne do transportu. Te beczki należało jeszcze wtoczyć na wozy, a już po kilkunastu beczkach nie miał kto, wszyscy ledwo stali na nogach. To był koszmar. Najbardziej narzekali furmani, bo musieli tymi wozami dojechać do Góry na stację PKP i do wyładunku trzeba było szukać nowych ludzi. W późniejszych latach, kiedy do odstawy przyjeżdżała cysterna, starsi pracownicy, którzy pamiętali te pierwsze odstawy wzdychali nieraz: *Panie co to teraz za odstawy, wkładają rurę i wszystko zegar odlicza, 10 tys. litrów w jeden dzień, a człowiek tylko patrzy przez szybkę. Kiedyś to były odstawy, człowiek się namordował ale trzy dni pamiętał odstawę*. Przy każdej odstawie było dwóch inspektorów, zakładali plomby na każdą beczkę i każde złącze rury doprowadzającej.

E.O. – Długo gorzelnia działała bez prądu ?

K. Ł. – Równo rok – od grudnia 1948 do grudnia 1949. Elektryfikacja wsi była dopiero w 1949 r. Trzeba było zwołać zebranie mieszkańców, wybrać sołtysa i spisać zobowiązania. Sołtysem został wówczas Zygmunt Zienkowicz. Prace rozpoczęli od stawiania słupów, dosyć długo to trwało, najpierw była podłączona gorzelnia, w grudniu 1949 r. (data zapisana za piecem w pokoju na górze, jest do dzisiaj) i szkoła, później kolejno gospodarstwa. Podłączenie prądu to była ogromna radość, duże ułatwienie we wszystkich pracach, doprowadzono od razu wodę do mieszkania. Były częste wyłączenia jeszcze w latach 50-tych, ale i tak było duże udogodnienie.

E.O. – A co z koleją?

K.Ł. – Kolej uruchomiono w 1949 roku. Była to linia Góra – Ścinawa. Większość torów była dobra. W Górze wsiadało się na dworcu Góra Zachodnia, Stara Góra, Rogów Górowski, Osetno, Masełkowice, Luboszyce, Irządze, Lubów, Bieliszów, Jemielno, Krzelów. Początkowo kursowały tzw. „towosy", były to wagony towarowo-osobowe. To były wagony towarowe, w których pod ścianami ustawiano ławki dla podróżnych. Podróż ze Ścinawy do Góry trwała trzy godziny. Na tej trasie jeździł taki dowcipny konduktor, który w Irządzach krzyczał „ Ja-rządze" albo „ Ja tu rządze", a w Wyszęcicach –

„wiszą- cyce". Jak już była linia kolejowa, wówczas wagon towarowy zostawiali na bocznym torze w Irządzach, a w drodze powrotnej zabierali z beczkami spirytusu do Wrocławia. W późniejszych latach, kiedy PGR-y miały coraz lepszy transport, spirytus odstawiano ciągnikiem lub samochodem ciężarowym: do Wrocławia, Poznania lub Leszna, w zależności od wskazania miejsca.

E.O. – Przy tak ciężkiej pracy były chociaż przyzwoite pensje?

K.Ł. – Przez pierwsze pół roku w ogóle nie mieliśmy poborów. Żyliśmy z moich oszczędności które ze sobą przywiozłam. Siostry z Torunia i Bydgoszczy przysyłały ubranka dla dzieci, a jedliśmy to co na wsi można dostać: miód, ser, mąkę, marmoladę, z lasu jagody, grzyby. Czasami mąż złowił w Odrze ryby. Był kłopot z mlekiem, bo gospodarze nie chcieli sprzedawać, woleli oddać do skupu (zlewni mleka). Chyba z tego powodu, kiedy wypłacili nam pobory za pół roku, to najpierw kupiliśmy krowę. Wszyscy ze wsi byli ciekawi, kto też tę krowę będzie doił. Mąż nie umiał, a mnie też szło to bardzo słabo, bo krowa wyjątkowo ciężko się doiła i jak na złość dawała bardzo dużo mleka. Musieliśmy ją doić trzy razy dziennie i za każdym razem było ok. 10 litrów mleka. Mąż musiał się nauczyć doić, bo ja nie miałam do niej siły. W późniejszych latach, kiedy była już weterynaria, poprosiliśmy dr Patrzka, aby załatwił nam gdzieś krowę, która lekko się doi i mało mleka daje. Załatwił i taką kupiliśmy. Doiła się lekko, ale jak na ironię dawała 1 litr do 1,5 mleka. Pobory były bardzo niskie, ale w tych latach wszyscy takie mieli, nie miało to większego znaczenia bo i tak nic nie można było dostać, wszystko było na przydziały.

E.O. – Gorzelnia była uruchomiona, więc co z tym wyjazdem na Pomorze?

K.Ł. – Najtrudniejsze były początki. Ratował nas jedynie rower (taka damka) który przywiozłam sobie z Pomorza. Mąż jeździł tym rowerem do Luboszyc, do Góry. Jak już jeździł pociąg, był kontakt ze światem, jeździliśmy do Góry, Legnicy i Wrocławia. Kiedy zakończono elektryfikację w Irządzach, zaczęli przyjeżdżać ludzie i zasiedlali budynki. Na początku lat pięćdziesiątych działał już sklep, szkoła, przedszkole, założono teatr, w Luboszycach działała piekarnia (nie musieliśmy już piec chleba), było coraz łatwiej, no i ciągle się coś działo i już wówczas nie myślałam o wyjeździe. Mąż cały czas przypominał mi, że jak przyjechaliśmy do Irządz to na kominie były bociany, a tam gdzie są bociany, tam jest dobre miejsce, sprzyjające również ludziom. Wyjątkowo było pięć młodych bocianów, więc sobie żartowaliśmy, że będziemy mieli pięcioro dzieci… i tak było. Nigdy więcej nie widziałam pięciu młodych bocianów, zawsze był jeden lub dwa. W gorzelni były zawsze jakieś remonty i tak przez czterdzieści lat. Ciągłe zmiany – w 1949 gorzelnie przeszły pod PGR-y, raz należeliśmy pod Ryczeń, pod Bełcz W-ki, pod Kietlów. Ile było zmian w PGR-ach – tyle było w Gorzelni. Od 1949 do 1957 było Zjednoczenie PGR w Legnicy, od 1958 r. był Inspektorat PGR Góra z/s w Zaborowicach, w 1972 r. po likwidacji Inspektoratu utworzono przedsiębiorstwa, po podziale administracyjnym kraju w 1976 r. zmiana województwa, w 1980 r. Kombinat Rolny zlikwidowano i powołano pięć przedsiębiorstw. Były jeszcze zmiany Gromadzkich Rad, Gmin, Poczty – i tak ciągle należeliśmy pod kogoś innego. Wszystkie zmiany pociągały za sobą ciągłe inwentaryzacje, stosy papierów do wykonania, zmiana dyrektorów, ciągłe kontrole. Kiedyś w jednym dniu mieliśmy cztery kontrole, a przecież pracę swoją trzeba

było wykonać, siedzieliśmy więc często po nocach, aby nie narobić sobie zaległości. Mąż wtedy napisał wiersz „Ścigany".

„Ścigany"
Ściga Naczelnik, ściga Inspektor,
Ściga kierownik, ściga dyrektor,
Pan „behapowiec" i Straż Pożarna,
Ściga „Sanepid" i władza karna,
Ściga mechanik i Bank Narodowy
Urząd Statystyczny i Nadzór Skarbowy,
Energetyka i władza MO,
Ścigają wszyscy, sam nie wiem kto!!!

Naczelnik W.Z – ściga za wyniki
Inspektor Nadzoru – za złe wskaźniki
Zaś Inspektorat – za nadmiar czasu
Dyrektor – za wydatki narobi hałasu,
Pan „behapowiec" gdy znajdzie usterki
Zaraz napisze protokół wielki.
Straż Pożarna – ściga za gaśnice,
Za wiadra, bosaki i za tłumice,
Ktoś z „Sanepidu" jest na kontroli,
Też piszą! – piszą i piszą do woli.
I Prokurator przyczepi łatki
Kiedy są większe i drobne wypadki.
Mechanik Rejonu już od zarania
Ściga ciągle za sprawozdania.
Bank Narodowy- bo są i tacy
Nie raz ściga za fundusz płacy,
Nadzór Skarbowy – zawraca głowy
Żeby powiększyć dochód narodowy,
Energetyka – za instalacje,
Gromadzka Rada – za biurokrację,
Władza MO – choć nie ma łupu,
Ścigają także wydziały skupu.
Może się znajdzie – „świadek jednoręki"
Który zakończy gorzelnicze męki
I w końcu nastąpią jakieś przemiany,
Że człek nie będzie więcej ścigany!!!

Były też miłe chwile, organizowaliśmy sobie kuligi, pikniki nad Odrą i Baryczą, było kino – początkowo objazdowe, później stałe w Uszczonowie. Mąż był również działaczem sportowym, zakładał boiska, więc często były zawody, turnieje. Do samej emerytury ciągle coś robił, organizował, zmieniał w gorzelni. Z 20 gorzelni powojennych

do końca istnienia PGR-ów zostało pięć działających, w tym dwie: Witoszyce i Irządze, które mąż organizował od zera.

E.O. – Pięcioro małych dzieci i praca księgowej w gorzelni, trudno to sobie wyobrazić. Pamiętam duże drewniane liczydło, na którym pod biurkami w biurze jeździliśmy jak samochodem. Jak w takich warunkach można było pracować?

K.Ł. – Od 1949 roku jako księgowy (później referent surowcowy) był zatrudniony Leon Bejnar. Pracował dwa lata. Po jego śmierci zatrudniona byłam jako księgowa. Najgorszy był pierwszy rok – sadzałam dzieci na kocyku w biurze, a sama rozliczałam plantatorów. Resztę prac musiałam nadrobić w nocy, jak dzieci spały. Nie było wówczas urlopów macierzyńskich ani wychowawczych. Od 1953 r. było już przedszkole w Irządzach, więc jakoś sobie radziliśmy. Wszystkie rozliczenia pisało się wówczas w czterech egzemplarzach, trzeba było mocno dociskać, bo pisaliśmy kopiowym ołówkiem. Od tego pisania miałam odciski. W książkach pisało się obsadką i atramentem, a w latach późniejszych wiecznym piórem. Liczydło sama dawałam dzieciom do jazdy, bo nigdy go nie używałam, wszystko liczyłam pamięciowo, szybciej mi to szło. Później były maszynki do liczenia, ale to używali inspektorzy podczas kontroli i mąż, a ja całe życie liczyłam pamięciowo. Szybciej liczyłam niż oni na tych maszynach.

E.O. – Przejście na emeryturę i wielka radość, że w końcu można wypocząć?

K.Ł. – To był dopiero problem. W gorzelni mieliśmy mieszkanie służbowe, do bloków mąż nie chciał iść. Ja już sobie wyobrażałam jak to przyjdzie młody kierownik i zacznie działać i zmieniać po swojemu albo źle traktować pracowników, więc nie ma silnych, żeby to zniósł nerwowo – przecież gorzelnia to jego oczko w głowie, jego krwawica. Namawialiśmy synów, ale żaden nie chciał, w końcu byli zorientowani jak za marne pieniądze harował do późnej nocy. Po długich debatach zgodził się syn Bogdan – ale tylko na kilka lat i postawiony warunek – bez wtrącania się.

E.O. – I jak było z tym wtrącaniem?

K.Ł. – Oczywiście, że się wtrącał. Początkowo wszystko było nie tak, były ostre dyskusje. Później już się bardzo starał, ale jak syna nie było – biegł do gorzelni i sprawdzał czy wszystko jest w porządku.

E.O. – W starych listach znalazłam taki wiersz o zawodzie gorzelnika. Faktycznie dla większości osób kojarzy się ze spirytusem, wódką, czyli piciem alkoholu, a co za tym idzie różnymi nieszczęściami, więc ten zawód gorzelnika nie wydaje się taki chwalebny?

K.Ł. – Tak ludzie kojarzą. Faktycznie duża część produkcji spirytusu zbożowego, ziemniaczanego czy melasowego przeznaczana była do produkcji wódek czystych i gatunkowych. Zaraz po wojnie zastosowanie spirytusu było wielorakie: do produkcji kauczuku syntetycznego do produkcji opon samochodowych, węży gumowych, butów, izolacji przewodów elektrycznych, do produkcji octu spirytusowego, perfum, wód kolońskich czy fryzjerskich, do przemysłu farmaceutycznego, do aptek (bo przecież wtedy w większości sami robili leki), szpitali, nie tylko do odkażania, ale do produkcji eteru (w tamtych latach jako środek usypiający). W latach pięćdziesiątych dodawano nawet do benzyny. Z tych powodów – zaraz po wojnie – był tak duży nacisk na uruchomienie gorzelni. Dla rolników natomiast najważniejszy był wywar (produkt uboczny gorzelni), który był doskonałą paszą dla inwentarza, głównie bydła. W zimie, kiedy było brak paszy

zielonej, to miało bardzo duże znaczenie (bydło przybierało na wadze, krowy dawały więcej mleka).

E.O. – W Irządzach produkowano spirytus głównie z ziemniaków, jęczmienia i melasy, ale pamiętam też jabłka i jakieś wafelki i ciastka?

K.Ł. – Były lata, kiedy wymagano coraz to większej ilości spirytusu. Gorzelnie działały na tzw. trzy zaciery, od rana do nocy, a były lata kiedy urodzaj na ziemniaki był słaby. Wówczas produkowano spirytus nie tylko z ziemniaków, jęczmienia i melasy, ale też z jabłek, odpadów z produkcji „Goplany" (ciastka, wafelki itp.), wytrzepy mączne z Młynów lub też mieszanki tych produktów. To było przekleństwo dla pracowników. Pamiętam jak błagali męża, aby więcej nie brał „tego dziwactwa". Na każdej dużej przerwie przybiegały dzieci ze szkoły i atakowały pryzmy jabłek czy wafelków. Nie byli w stanie odgonić 50 czy 100 dzieci, a na tych pryzmach to było wszystko brudne, groziło jakimś zatruciem.

Zawód gorzelnika

Wśród wielu zawodów – głosi statystyka
Istnieje w Polsce zawód gorzelnika.
Jak każdy zawód ma dodatnie i ujemne strony
Jeden jest więcej, drugi mniej ceniony.
Nasz zawód jest szczególnie znany
Gdyż pierwszej potrzeby – artykuł wyrabiany.
To nie są żarty! Tak to nazwać trzeba
Bo wielu to ludzi żądni są chleba,
Z którego gotowi są zrezygnować
By móc ten artykuł kupować.
A jest na pewno wszystkim wiadomo
Gdy człek się rodzi – piją rzekomo,
A gdy dorośnie i żenić się trzeba
Wódki na stołach więcej niż chleba,
A kiedy przyjdzie już życia kres
Kielich goryczy piją do łez.
I piją wszyscy! – i starzy i młodzi,
Jednym na zdrowie – drugim to szkodzi
Przyjęcia, zabawy, uroczystości
Rzadko bywają bez wódeczności.
I piją różną – czystą, wyborową
Same nalewki i gatunkową,
Z ziemniaków, żyta lub melasówkę,
Bimber, de natur lub kominówkę.
Niegdyś to napój był tylko pański,
Teraz powszechny środek szatański
Bo iluż to nieszczęść jest ona powodem
Gdy jedziesz motorem lub samochodem,
Kradzieże, zabójstwa, wszelkie rozwody,

Dezercje, szpiegostwa i wszelkie zdrady
Potem więzienia i ośrodki karne,
Sanatoria, szpitale – te przykłady marne
I będą wołać o pomstę do nieba
Gdy tylko zajdzie taka potrzeba.

Pracownicy zatrudnieni w gorzelni Irządze

Gorzelnia w Irządzach czynna była od maja 1948 r. do 28 maja 1996 r. (48 lat)

W gorzelni zatrudnionych na pełnym etacie było zawsze 5 pracowników, kierownik i referent surowcowy. Pozostali pracownicy (na spławnię, do kopców) zatrudniani byli sezonowo.

Kierownicy gorzelni: Roman Łabaziewicz – założyciel gorzelni, od maja 1948 r. do 1 maja 1982 r.(później jako specjalista w PGR Kietlów). Zmarł w wieku 66 lat (w 1988 r.); Bogumił Łabaziewicz – od 2 sierpnia 1982 do 30 czerwca 1997 r.

Księgowi (później referent surowcowy): Leon Bejnar; Kazimiera Łabaziewicz.

Palacze: Władysław Niezgoda (od 1949 r.), Piotr Szarek, Stanisław Nowak, Michał Drozd, Jan Kmiotek, Stanisław Maciaszek, *NN* Benysek, Henryk Albin.

Aparatowy: Wacław Korgul (od 1949 do emerytury), Antoni Piekarski, Andrzej Łabaziewicz.

Zacierowy: Jan Gnat (od 1949 r.), Mieczysław Grymuza (od 1951 do 1955 r.), *NN* Lipowski, Krzysztof Rycek, Józef Pokrop.

Słodowy: Janina Filaber (od 1949 r.), Leokadia Pokrop, Genowefa Gawda.

Płuczka, transport itp.: Jan Filaber (od 1949 r.), Włodzimierz Drozda, Zygmunt Wierzba, Stanisław Kromplewski, Władysław Jasiewicz, Zygmunt Sawicki, Wojciech Kurpiel.

Od autorki

Urodziłam się w budynku gorzelni w Irządzach, mieszkałam tam przez 22 lata. Zbierając materiały do historii wsi Irządze po 1945 r. głównie zależało mi na utrwaleniu relacji ustnych. Często jest za późno na pozyskiwanie informacji, odeszły osoby posiadające ciekawą wiedzę, a dokumenty w wielu przypadkach uległy zniszczeniu. Wiele dokumentów, listów i zdjęć zniszczono. Jako piętnastoletnia dziewczynka oprowadzałam wycieczki po gorzelni tłumacząc cały proces produkcji i historię zakładu, stąd pomysł, aby podzielić się z czytelnikami zebranym materiałem i utrwalić informacje, które można było jeszcze zgromadzić.

Bibliografia

Kronika m. Góry Śląskiej i Ziemi Górowskiej, T. 1 – od 1 lipca 1946 r.

Jarociński J., Jarosz K., *Gorzelnictwo i drożdżownictwo*, Warszawa 1980.

Brudzyński A., Bobrowski M., *Gorzelnie Rolnicze*: *wskazówki bezpieczeństwa i higieny pracy*, Warszawa 1951.

Osiecki T., Romanek S., *Praktyczne wskazówki dla kierowników gorzelni spółdzielczych*, Warszawa 1949.

Beca T., *Monografia PGR Ziemi Górowskiej 1949-1989*, maszynopis.

Decyzja w sprawie wpisania dobra kultury do rejestru zabytków z 18.06.1993 r., Leszno 1993, kserokopia.

List z 16 listopada 1946 r. z Luboszyna, archiwum rodzinne autorki.

Kołodziej W., *Z perspektywy historycznej*, „Świat Problemów" 2004 nr 6, http://www.psychologia.edu.pl/czytelnia/62 świat-problemów/787, [dostęp 16 stycznia 2011].

Herbst A., *Alfabetyczny wykaz miejscowości obwodu Góry Śląskiej z 1.04.1946*, ksero.

Wiersze Romana Łabaziewicza, archiwum rodzinne autorki.

Wywiady:

Kazimiera Łabaziewicz – Kietlów, 20 i 30 stycznia 2012.

Bogumił Łabaziewicz – Irządze, 3 lutego 2012.

Andrzej Łabaziewicz – Kietlów, 30 stycznia 2012.

Szarek Teresa – Luboszyce, 3 lutego 2012.

Ewa Osuch

Rys. Maria Łabaziewicz

I NIKT JUŻ NIE ZAPRZECZY, ŻE „MATEMATYKA TO KRÓLOWA NAUK”
KONSTANTY MATULEWICZ – CZŁOWIEK WSZECHCZASÓW
CZ. I

Praca powstała na IV edycję konkursu „Świadectwa historyczne” odbywającą się pod hasłem „Bohaterowie mojej miejscowości. Świadectwa historyczne 1945–2010”. Organizatorem był wrocławski Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”. Ewelina Kędzierska wybrała osobę, która interesowała się podobnymi zagadnieniami co autorka, czyli matematyką. Autorka pisząc pracę była uczennicą Liceum Ogólnokształcącego w Górze, obecnie studiuje na Politechnice Warszawskiej. *(M.Ż.)*

Mówi się, że „historia jest nauczycielką życia”, mimo wszystko jednak „matematyka to królowa nauk”. Bez niej nie istniałaby żadna inna nauka, bez niej człowiek nie byłby w stanie właściwie funkcjonować we współczesnym świecie. Dlatego właśnie z tą dziedziną wiążę swoją przyszłość, stawiam wszystko na tę kartę. Czyż nie byłoby wspaniale mieć więc za wzór do naśladowania matematyka? Osobę z pasję, o podobnych zainteresowaniach? Tylko gdzie ja znajdę kogoś takiego…

Przez ostatni rok intensywnie poszukiwałam ideału. Nie wiedziałam jednak, gdzie mam go odnaleźć. Może w telewizji, prasie, życiu codziennym… Wreszcie znalazłam – w szkolnej kronice. W niniejszej pracy chciałabym przedstawić informacje, które udało mi się pozyskać ze zgromadzonych dokumentów, lokalnych kronik, rozmów ze współpracownikami i bliskimi Konstantego Matulewicza – najwybitniejszego matematyka w dziejach Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Górze. Mam nadzieję, iż jednocześnie uda mi się udowodnić niesamowitość tego wspaniałego, niestety, zapomnianego już przez społeczność Góry człowieka.

„Jeszcze za Bugiem…”, czyli o życiu przed wojną

Chyba każdy z nas ma w pamięci nauczyciela, któremu wiele zawdzięcza, który znał nasze zainteresowania i kłopoty, decydował o naszej postawie życiowej i wyborze zawodu. Dla wielu osób w różnym wieku i na różnych stanowiskach taką niezapomnianą postacią młodości jest „ich matematyk” – Konstanty Matulewicz – człowiek niezwykły, jeden z tych, o których przez całe lata krążyły legendy. W swoim życiorysie z 2 lipca 1949 roku napisał:

Urodziłem się 1 stycznia 1894 roku w Wilnie. Ojciec – syn drobnego rolnika – opuścił wieś i udał się na poszukiwanie zarobku do miasta, gdzie pracował, jako pomocnik sklepowego, w młynie.

Naukę początkową pobierałem w domu, a w roku 1902 wstąpiłem do gimnazjum w Mozyrzu. Po ukończeniu ośmiu klas otrzymałem w roku 1912 świadectwo dojrzałości. W latach 1912-1916 studiowałem na wydziale matematyczno-fizycznym Uniwersytetu w Warszawie. Środki do życia i nauki zdobywałem prywatnymi lekcjami, a potem otrzymałem stypendium. Po ewakuacji Uniwersytetu do Rostkowa N/D [nad Donem – przyp. autorki] *uzyskałem tam w roku 1916 dyplom kandydata nauk matematycznych i w okresie 1916-1922 pracowałem jako nauczyciel szkół średnich. Po powrocie do kraju pracowałem od roku 1922 do 1941 w swoim zawodzie w Wilnie. W roku 1936 ożeniłem się z Janiną z Balczewskich. W latach okupacji pracowałem w kompletach tajnego nauczania w Wilnie* [Matulewicz widnieje na liście osób biorących udział w tajnym szkolnictwie w Wilnie i na Wileńszczyźnie w latach 1939-1945 jako organizator grup tajnego nauczania w zakresie szkolnictwa powszechnego i średniego w dzielnicy Zwierzyniec w Wilnie – przyp. autorki]*, a w roku 1944-1946 w III gimnazjum. W lipcu 1946 przyjechałem, jako repatriant, wraz z rodziną do Góry Śląskiej […].*

Ponadto z odpisu uwierzytelnionego notarialnie dowiedziałam się, iż *roku 1894 miesiąca stycznia dnia 23 ochrzczono niemowlę imieniem Konstanty urodzone w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego miesiąca stycznia dnia pierwszego /I/ syn małżonków ślubnych Teofila i Weroniki ur. Bernat Matulewiczów w Wilnie.*

Zdjęcie podpisane przez Konstantego Matulewicza
w następujący sposób: „Klasa VI: piesek,
Weronika Matulewicz – matka,

Małgorzata Bernat – ciotka"

Zastanawiający może być fakt, dlaczego na powyższym zdjęciu, zrobionym *jeszcze za Bugiem*, nie ma ojca Konstantego Matulewicza. Benedykta Panek – adoptowana córka Profesora tłumaczy: *Gdy jeszcze z mamą mieszkał za Bugiem, to ojciec poszedł sobie w długą. To on* [Konstanty – przyp. autorki] *ciągle z mamusią, z mamusią, a nie żeby koledzy.*

Warto również wspomnieć, iż w ciągu nauki w progimnazjum i gimnazjum Konstanty Matulewicz zachowywał się wzorowo, przy czym wyróżniał się wiedzą i miał z następujących przedmiotów same bardzo dobre oceny: religia, język rosyjski i język starocerkiewny, literatura, propedeutyka filozofii, język łaciński i język grecki, prawoznawstwo, matematyka, geografia matematyczna, geografia, fizyka, historia oraz język francuski i język niemiecki. Zaliczył także na podstawie odnośnych przepisów cykl szkolenia wojskowego, realizując w ten sposób obowiązek wojskowy. Mając na uwadze zachowanie i oceny Rada Pedagogiczna postanowiła go nagrodzić złotym medalem

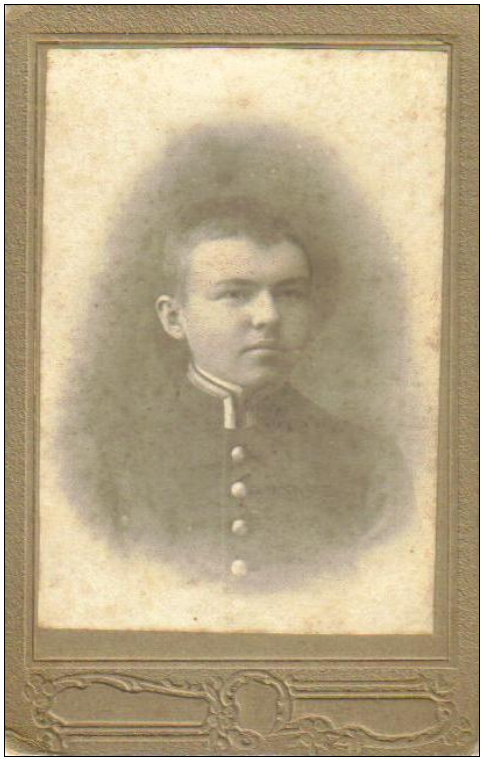

Konstanty Matulewicz jako uczeń

Nie ma w tym jednak jeszcze niczego niezwykłego. Są to tylko „suche fakty", bez których niemożliwe byłoby wspominanie tego niezwykłego człowieka. Myślę jednak, iż w tym miejscu warto sięgnąć do ludzkich reminiscencji.

***Nigdy nie zapomnę…*, czyli kilka słów o naszym belfrze**

Profesor wspaniały był człowiek. Był szanowany, ceniony, ważny. Chodził do kościoła, modlił się, pobożny był. W szkole surowo oceniał, bo chciał, by te dzieci się czegoś nauczyły. Dzięki ogromnej wiedzy, jaką przekazywał, każdy z jego uczniów mógł dostać się na wyższe studia […].

Spotkaliśmy się, jak już pracowałam w szkole. Zawsze mi książki jakieś przynosił. Pamiętam „Suknia Dejaniry" – wspaniała książka – ja od niego ją dostałam, znałam ją bardzo dobrze. Przeczytałam i oddałam. On miał bardzo dużą bibliotekę, w domu pełno tych książek. Cały czas pracował, rozwiązywał. To był naukowiec. Zwykł mówić, że doktoratu to nie zrobił, bo pisał z matematyki książkę i tyle mu czasu zajęła... Przed wojną, to on jeszcze opowiadał, że miał samochód, a w tym czasie samochodów mało było. Ponadto miał kontakty ze wszystkimi. Odzywali się do niego profesorowie, ale i znajomi z Wilna. Otrzymywał on zawsze życzenia i z Paryża, i z Rzymu.

Profesor przyjechał tu [do Góry – przyp. autorki] *z matką i z żoną; i dzieci adoptował. Najpierw dwoje: syna i córkę. Córka tu skończyła gimnazjum, potem wyszła za mąż, teraz mieszka i pracuje w Bielsku-Białej. Później adoptował jeszcze jedną córkę. Z nią miał problemy, bo małe dziecko wziął i musieli się nią zajmować. Ponadto słabo się uczyła. I mieli jeszcze syna. Troje dzieci wziął na wychowanie.*

Jak wynika z opowiadania Weroniki Danilewicz – nauczycielki historii i języka rosyjskiego w Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego i Licealnego w Górze od 1956 roku – Konstanty Matulewicz, pracujący w górowskim liceum w latach 1946-1968, wychował wielu wspaniałych matematyków, pracujących obecnie na uczelniach Polski, Włoch, Rosji, Francji i Ameryki. Był nauczycielem niezwykle wymagającym, a piątka z matematyki była nadzwyczajnym wyróżnieniem dla ucznia. Dla tych „myślących matematycznie" nie żałował czasu, często się z nimi przyjaźnił.

Lubię wybitnie utalentowanych matematycznie. Przez całe pół wieku, w każdym prawie roczniku, miałem po dwoje, troje uczniów rokujących wielkie nadzieje. Uczenie ich było przyjemnością i kłopotem: nie można przecież wymagać od reszty klasy ich poziomu, z drugiej strony nie można zmarnować ich talentu. Prowadzę więc, w miarę możliwości, „nauczanie dwupoziomowe". Bardzo mądra wydaje mi się koncepcja radziecka tworzenia szkół dla wybitnie utalentowanych matematycznie – powiedział Konstanty Matulewicz w wywiadzie dla „Magazynu Tygodniowego Gazety Robotniczej" z 11-12 czerwca 1966 roku przeprowadzonym z okazji pięćdziesięciolecia pracy nauczycielskiej – *Przyjaźnię się z młodzieżą najbardziej na kółkach matematycznych. Ale nie rozpaczam, kiedy przyjaźń się na jakiś czas przerywa. Wiem przecież, że kiedy zakwitają kasztany, rozsypują się wszystkie kółka i nawet geniusze klasowi nie rozwiązują już problemów, tylko biegną na boisko kopać piłkę.*

Profesor był, tak przynajmniej mnie się wydaje po latach, świetnym matematykiem dla dobrych matematyków. Tych słabszych, nie powiem, że lekceważył, ale do nich jakiegoś wielkiego sentymentu nie miał – wspomina Stanisław Zdanowicz, uczeń Konstantego Matulewicza w latach 1964-1966.

Ponadto Profesor korespondował z przyjaciółmi z zagranicy, jeździł na różnorodne sympozja, prowadzone nie tylko w języku polskim. W domu również miał książki w różnych językach.

Kiedyś poprosił nawet mnie i takiego kolegę – Janusza do siebie do mieszkania i chciał, żebyśmy mu pomogli zrobić porządek. Jego pokój był zawalony książkami. Myśmy z ciekawości je oglądali. Były również takie w języku rosyjskim, z dwugłowymi orłami – herbem Rosji. Pytaliśmy, były to

wszystko jego przywiezione książki, z których się uczył matematyki. Ponadto dużo notatek i klasówek. Część podręczników było zniszczonych, rozsypujących się, ale nie pozwolił ich wyrzucić, bo były bardzo przydatne. Myśmy tam dwa razy byli, ale i tak nie udało nam się tego wszystkiego uporządkować. Później jeszcze kogoś zaangażował do pomocy – wspomina Jerzy Żyłuk, kolejny z uczniów Matulewicza.

Konstanty Matulewicz na jednym z międzynarodowych sympozjów w Warszawie

Ojciec nie tylko uczył matematyki, ale także wykładał astronomię. Jeździł z uczniami do planetarium do Chorzowa – mówi Benedykta Panek. Matulewicz należał do Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii, o czym świadczy legitymacja nr 952 z 1952 roku.

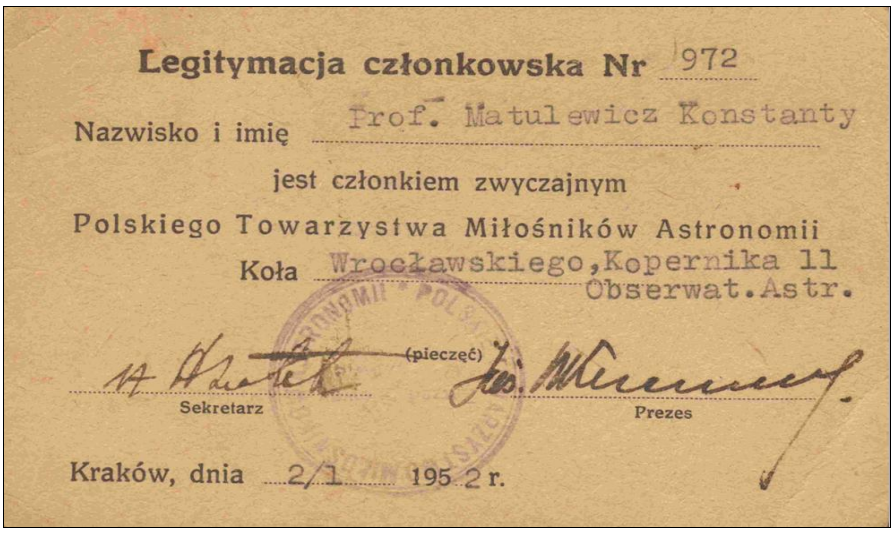

Legitymacja członkowska Nr 972

Nazwisko i imię Prof. Matulewicz Konstanty

jest członkiem zwyczajnym

Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii

Koła Wrocławskiego, Kopernika 11 Obserwat. Astr.

(pieczęć)

Sekretarz Prezes

Kraków, dnia 2/1 195 2 r.

Legitymacja członkowska Koła Miłośników Astronomii

Pisał też artykuły i prace z zakresu metodyki matematyki oraz konstruował niezliczone ilości pomocy naukowych.

Najbardziej interesuje mnie teoria liczb. Coś tam już na ten temat wydałem, coś tam jeszcze napiszę. Znakowanie i elementarne pojęcia teorii zbiorów wprowadzone są obecnie do programów szkolnych. Młodzież musi wcześnie poznać pewne elementy symboliki i logiki matematycznej. Poza tym interesują mnie bardziej nowe dziedziny: cybernetyka, maszyny cyfrowe […]. Takiej maszyny chciałbym użyć do układania programów lekcyjnych. Nie, to nie żart. Co roku setki osób, przez setki godzin układają skomplikowane programy szkolne. Powiedziałem co roku, a przecież zdarza się, że program jest kilka razy w ciągu roku zmieniany – mówił Matulewicz w wcześniej przytoczonym wywiadzie.

Profesor był nauczycielem bardzo wymagającym. Na pytanie: *Ile w tym roku w Pańskiej klasie będzie piątek?,* odpowiedział: *Niewiele. Trójka to też stopień.* Ponadto stawiał on tak zwany „stopień państwowy" – trójkę z minusem. Rodzą się tutaj zatem pytania, czy ten system nauczania był przyjazny dla wychowanków oraz jak wspominają oni lekcje Profesora Matulewicza. Od tego momentu będę więc przywołała pomiędzy komentarzami odautorskimi, wspomnienia Jego uczniów.

Profesor Matulewicz uczył mnie dwa lata matematyki […]. Tak jak go zapamiętałem, był wyjątkowym matematykiem. Ta wyjątkowość polegała na tym, że świetnie prowadził zajęcia, a jednocześnie miał niesamowitą wiedzę – rozpoczyna swoją opowieść Stanisław Zdanowicz.

Matematykę czas zacząć!

Konstanty Matulewicz podczas prowadzenia lekcji matematyki

W opracowaniu Olgierda Stankiewicza pt. „Wspomnienia z Góry lat 1945-50" znalazłam fragment o tym, jak rozpoczynała się lekcja matematyki:

Przychodził do szkoły w szarym fartuchu. Wchodził do klasy, wyciągał z kieszeni budzik, stawiał na stoliku i oznajmiał: „Lekcja matematyki 27, trygonometrii dwunasta, do tablicy iks i igrek, kartkówki omega i zet".

Czas na odpytywanie!

Profesora Matulewicza wspominam jako bardzo wymagającego, z bardzo dużą wiedzą. Bardzo duży kontakt miał z uczniami i często sprawdzał uczniów. Na przykład na matematyce w klasie jedenastej nas było dwadzieścia jeden osób. To tak w tygodniu, jak były trzy matematyki, to wszyscy byli przepytani. Mieliśmy klasę tam, gdzie gabinet PW [przysposobienia wojskowego – przyp. autorki]. *Były dwie tablice. Krecha na jednej, krecha na drugiej, a więc cztery. Pisał zadania na jednej, na drugiej, na trzeciej, na czwartej. Ciuć…, Mać…, Ty…, Czu… – ten tu, ten tu, ten tu… Pisali… Potem siedzimy normalnie przy stolikach. Były tzw. „koziołki" i dwa stoliki – ten z przodu, ten z tyłu. Tu było zadanie takie, tu było zadanie takie. Tu karteczka taka, tu taka. Dziesięć minut. Żeby nikt nie miał szans jeden drugiemu pomóc, tylko każdy samodzielnie […]. Dziesięć minut i przepytane: czterech przy tablicy, dodatkowo postawił „koziołki" i… połowa klasy przepytana […].*

Jak pisaliśmy klasówkę, zawsze miał słynne powiedzenie. Pierwszy raz nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Przychodzę do domu, do mamy i mówię: „Mamo, Profesor Matulewicz powiedział, że mamy przyjść trzy na siódmą na klasówkę". Pierwsza lekcja była matematyka, a pisało się zawsze dwie godziny. Klasówka, to była klasówka. Dwie godziny, i to nie w jakimś zeszycie, tylko skoroszyt i kartki A4, no i trzy na siódmą (czyli za piętnaście siódma) […]. Przychodziliśmy do klasy. Punktualność niesamowita. Siódma – brzdęk – wchodził Profesor i u nas była grupa A, B, C, D, A, B, C, D… Każdy inne zadanie i czas dwie godziny… i znowu miał załatwionych wszystkich. Także sprawdzał od A do Z.

Stanisław Zdanowicz o klasówkach opowiada tak:

Kiedy pisaliśmy klasówkę, to nie zdarzyło się zadania identycznego. Było koło trzydziestu osób w klasie, to każdy miał inne zadania. Gdy odpytywał, przynosił, jak on to nazywał, koziołki tak zwane, z tektury zrobione, wkładał kartkę dzieloną na pół. Ja miałem prawą stronę, kolega lewą i każdy inne zadania […]. Żeby zachęcić do matematyki i jednocześnie, żebyśmy się nie nudzili w czasie ferii (bardzo o to dbał), to każdy z nas dostawał na ferie zadania matematyczne. I znowu sytuacja była podobna, może komuś zdarzyło się zadanie podobne, ale tak jak ja z kolegą weryfikowałem, to zadań podobnych praktycznie nie było. Czyli Profesor musiał przygotować dla jednej klasy około 900 zadań, na specjalnych kartkach, które trzeba było oddać.

Jerzy Maćkowski wspomina również o jeszcze jednej, ważnej dla każdego ucznia kwestii:

Jeśli chodzi o pytanie, to jedną rzecz miał fantastyczną – można było go elegancko wyczuć. Jak chciałeś być pytanym na mur-beton, to musiałeś się umówić na randkę na godzinę osiemnastą i iść od Wieży Ciśnień tutaj, gdzie jest teraz Parkowa [jedna z górowskich restauracji – przyp. autorki]. *Przed godziną szóstą musiałeś być na tej dróżce. Profesor zawsze o tej samej godzinie rowerem ciach, ciach, ciach… Przejeżdża, zobaczy. „Dzień dobry, panie psorze!", „Dzień dobry!". I następnego dnia, na pierwszej lekcji, wiadomo: „No ty, Mać…, ty masz dużo czasu, chodź tutaj". I dłuższe pytanie… Także miał swoje takie zagrania […].*

Słowa te potwierdza córka Profesora:

A taki był cwany, że jak zobaczył ucznia na ulicy idącego na spotkanie z dziewczyną (a oni tak specjalnie robili), to na drugi dzień: „Ej, ty …, chodziłeś wczoraj, do tablicy, zobaczymy, czy umiesz matematykę dzisiaj". Ci, co teraz się tak szwendają, to by byli na każdej matematyce pytani.

Ściąganie i rozrabianie – nie ma mowy!

Jeśli chodzi o ściąganie, to Jerzy Żyłuk tłumaczy:

Jak już była klasówka, to pan Matulewicz ze swoją siwą bródką jadł śniadanie i obserwował nas. I np. jak ktoś próbował ściągać, to zaraz pokazywał: „Ej, ty tam, przestań" – tak mówi – „przerzucać mięso z ręki do ręki".

Jerzy Maćkowski wspomina:

Na maturze rzuciłem koledze ściągę. Niestety, odbiła się od stolika i upadła na podłogę. Kolega zaczął wykonywać gwałtowne ruchy. Gdy Profesor Matulewicz to zauważył, podszedł natychmiast, bez oglądania się w prawo i lewo, podniósł ściągę i zaniósł ją do Dyrektora Tarkowskiego. Dyrektor Tarkowski popatrzył na lewo, na prawo… ale teraz skąd ta ściąga? Dyrektorowi też nie zależało. Matulewicz się pokręcił, ale było widać jego gniew.

Stanisław Zdanowicz mówi zaś o karach za przeszkadzanie na lekcji:

Zdarzało się, że jeśli ktoś rozrabiał na lekcjach, a ja do najgrzeczniejszych nie należałem, to potrafił dać książkę z poprzedniego wieku, w języku rosyjskim i było zadanie dodatkowe, że trzeba było przetłumaczyć i zadanie trzeba było wykonać.

Olgierd Stankiewicz pisze zaś tak:

Jeżeli ktoś zaszumiał albo nie uważał, dostawał polecenie „chwilowo wstań", a po jakimś czasie „chwilowo siadaj".

Sposób oceniania uczniów

Stanisław Zdanowicz wspomina:

Miał specyficzną formę zapisywania ocen. Oceny u niego były, z kropką, z przecinkiem, z plusem, z minusem, trójka łamana przez trzy. I nikt nie wiedział, co jest lepsze. I jednocześnie, później się o tym dowiedziałem, prowadził ligę matematyczną w klasie. Jeśli ktoś pisał zadania bardzo dobrze na klasówce pierwszej, drugiej, to już na trzeciej dostawał zadania trudniejsze. Jeśli ktoś miał zadania lepsze, a wykonał je gorzej, dostawał wtedy zadania słabsze.

Jerzy Maćkowski mówi:

Każdy wpisywał stopnie w dziennik, a on miał swój notesik, w którym wpisywał stopnie na czerwono. Z tym, że stopnie, to były: a, β, γ, δ itd. Zanim człowiek zobaczył, czy to jest a, β, czy γ – czort wie… Przychodził odpowiedni okres i wtedy się dowiadywałeś, na ile cię wycenił.

Jerzy Żyłuk podsumowuje:

Jak przyszła wywiadówka, wystawianie ocen, to zawsze wyciągał nas. Do tablicy, tych zagrożonych. Mówili wszyscy: „Jak już masz u Profesora Matulewicza dwóję, to jesteś dobry z matematyki".

(Nie)typowa geometria przestrzenna

Natomiast, jeżeli chodzi o geometrię przestrzenną, to korzystał z naszej mniejszej, czy większej wyobraźni. Kazał nam zrobić patyczki. Powiedział: „Ty potrafisz zrobić dwudziestocentymetrowy z koniuszkami czerwonymi, ty zrobisz trzydziestocentymetrowy". I potem przyszło coś z geometrią, to patyczkami cyk, pospinał, pospinał, pospinał i widziałeś, co masz liczyć. Także wyrabiał w nas taką wizję przestrzenną – powraca pamięcią Jerzy Maćkowski.

Benedykta Panek dodaje:

Jeżeli była geometria, to kazał robić geometryczne bryły, czy patyczki jakieś. Sam jednak ich nie robił – zawsze zlecał uczniom.

Specyficzne poczucie humoru Profesora

Matulewicz to był człowiek z wielką matematyczną wiedzą i ciekawy facet, bo z humorem. Zawsze z humorem. Gdy sprawdzał obecność, to czytał pierwsze trzy literki tyko […]. Ja byłem Żył… I tak to się odbywało – mówi Jerzy Żyłuk.

Stanisław Zdanowicz wspomina zaś:

Porzekadła miewał swoiste, praktycznie każda jego wypowiedź wzbudzała śmiech. Z takich, klasycznych, to pamiętam, że kiedy uczeń stał przy tablicy i nie wiedział, jak to zadanie zrobić, to Profesor mówił ze swoistym wileńskim akcentem: „Czego stoisz, jak wół nad jeziorem, nie wiesz, czy wypić, czy dolać?". Dość często to powtarzał.

Wygląd zewnętrzny nie świadczy o człowieku

Każdy człowiek ma swoje upodobania, zwłaszcza jeśli chodzi o sposób ubierania, własny styl. Podobnie było w przypadku Konstantego Matulewicza.

Charakterystycznie chodził ubrany. Nie przywiązywał wagi, żeby nosić krawat. Nawet była taka duża dla niego uroczystość – otrzymał jakiś medal, ale nie pamiętam dokładnie jaki – przyszedł normalnie, schludnie ubrany. Nie żeby tam krawat, czy strój nie wiadomo jaki. Tak, jak chodził w życiu codziennym. Ciężkie buty, nie pantofle – pantofli ja nie widziałem u Profesora Matulewicza nigdy. Zawsze miał takie ciężkie buty, na te buty nakładał szeroką nogawkę od portek i tak chodził. A żeby jakieś pantofle – nie przywiązywał wagi…

A Jerzy Żyłuk dodaje:

Jego charakterystycznym strojem była ta marynarka. Przechodził z pół roku – albo miał na zmiany – nie wiem […]. Był dość małego wzrostu i tą marynarę miał trochę przydługą – sięgała mu do kolan. Charakterystyczne też było jego śniadanie - kawałek bagietki wystający z kieszeni.

Ponadto Stanisław Zdanowicz mówi:

Zawsze nosił jakiś kapelusik, co było specyficzne. Po dopuszczeniu do matury, jeszcze przed egzaminem starał się, żeby żadna dziewczyna idąc ulicą nie zdążyła mu powiedzieć pierwsza „dzień dobry". Jak wchodził na narożnik ulicy Szkolnej od młyna, to do szkoły szedł z podniesionym kapelusikiem. Dziewczynom bardzo się to podobało, bo one jeszcze nastolatki, a już Pan Profesor pierwszy im ukłony czyni.

cdn.

Ewelina Kędzierska

ANTONI ARENDARCZYK
1940-2012

Żeby zapalić innych, trzeba samemu płonąć.
Ludwik Hirszfeld

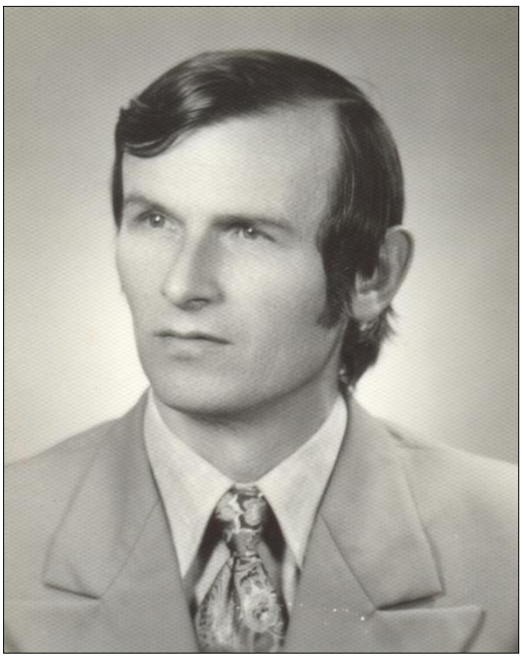

Antoni Arendarczyk urodził się 8 stycznia 1940 roku we wsi Czerniec gmina Łącko powiat Nowy Sącz. Rodzice jego byli rolnikami i prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. Miał także młodsze rodzeństwo: brata i siostrę. Od roku 1954 chodził do szkoły siedmioklasowej w Łącku. Po jej ukończeniu rozpoczął naukę w pięcioletnim Liceum Pedagogicznym im. Jana Kasprowicza w Starym Sączu. W latach 1959-1960 pracował w Szkole Podstawowej w Smoniowicach powiat proszowicki. Potem, otrzymawszy w latach 1960-62 urlop bezpłatny, podjął kształcenie w Studium Nauczycielskim w Raciborzu na kierunku wychowanie fizyczne (w trybie dziennym). Ważnym momentem w jego dorosłym życiu było odbycie w latach 1963-1964 zasadniczej służby wojskowej, którą zakończył w stopniu kaprala. Pierwszą pracę jako nauczyciel podjął w Ślubowie, następnie w roku 1967 w Szkole Podstawowej nr 1 w Górze. Potem pełnił obowiązki podinspektora szkolnego do spraw wychowania fizycznego pracując nadal jako nauczyciel Szkoły Podstawowej nr 1 w Górze.

W jego życiu dość często następowały zmiany, które były dla niego kolejnym doświadczeniem jako nauczyciela i społecznika. 15 sierpnia 1977 roku powierzono Panu Antoniemu obowiązki sekretarza Powiatowej Rady Związków Zawodowych w Górze. W tym samym roku został powołany na stanowisko zastępcy dyrektora Szkoły Podstawowej nr 1 w Górze i pełnił ją do roku 1980. W latach 1974-1978 studiował nauki polityczne na Uniwersytecie Wrocławskim. 29 czerwca 1978 roku uzyskał tytuł magistra nauk politycznych z wynikiem bardzo dobrym. Kolejny ważny moment w Jego życiu to rok 1980 – przyjęcie obowiązków dyrektora w Szkole Podstawowej w Czerninie. Pełnił tę funkcję do 1990 roku. Przez rok jeszcze pracował jako nauczyciel i od 1991 roku przeszedł na emeryturę. Przez ostatnie lata życia zmagał się z ciężką chorobą.

Przez cały czas był aktywnym członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego, otrzymał Złoty Medal za 50-lecie przynależności do związku. Przez trzy kadencje 1978-82, 1984-88, 1988-92 był radnym Rady Narodowej Miasta i Gminy Góra. Za działalność społeczną w Radzie Narodowej otrzymywał liczne dyplomy oraz podziękowania. W 1988 roku Miejsko-Gminna Rada Narodowa w Górze nadała mu tytuł Zasłużonego dla Ziemi Górowskiej, a w 1984 roku został odznaczony za zasługi dla województwa

leszczyńskiego. Za działalność społeczną na arenie sportowej jako działacz LZS był wielokrotnie wyróżniany, otrzymał między innymi Złotą Odznakę Honorową LZS. Jako społecznik w latach 1994-98 pełnił funkcję sołtysa. Za zaangażowanie w tę pracę otrzymał podziękowanie z rąk burmistrza Dariusza Matkowskiego. Dużo energii i czasu poświęcał harcerstwu, w którym pełnił różne funkcje. Za działalność i zaangażowanie w życie harcerskie, przygotowania harcerskich akcji letnich i instruktorsko-wychowawczych otrzymał podziękowania od komendantów hufca.

Jego hobby były szachy i wędkarstwo, którymi pasjonował się przez wiele lat i zarażał nimi innych. W czasie choroby zajął się tworzeniem w drewnie. Do tego celu wykorzystywał oryginalne korzenie i różne farby.

Zarówno współpracownicy, jak i uczniowie wspominają Go jako człowieka bardzo życzliwego, umiejącego zjednywać sobie ludzi. Był wymagającym, ale sprawiedliwym nauczycielem, dyrektorem oraz prawym człowiekiem – tego samego wymagał od innych. W środowisku cieszył się ogromnym szacunkiem. Spotkania z Panem Antonim to była dobra lekcja życia.

Za udzielenie informacji serdeczne podziękowanie składam żonie – Pani Henryce Arendarczyk.

Lidia Kaczor

♠ ♠ ♠ ♠ ♠ ♠ ♠

OLGIERD STANKIEWICZ
1925-2012

Urodził się 27 października 1925 r. w miejscowości Wielki Dwór (wcześniejsza nazwa Horodziej) w powiecie nieświeskim, w województwie nowogródzkim. W czasie wojny przebywał w Mirze w powiecie stołpeckim i w Turcu. W latach 1939-1941 uczył się w szkole białoruskiej.

Kresy, w tym ziemia nowogródzka, przeżywała najpierw okupację sowiecką (1939-1941), a następnie niemiecką (po 1941). Niedawno odzyskana niepodległość Polski nie była darem, lecz wywalczona została krwią. Znowu przyszedł czas, gdy o wolną Polskę trzeba było walczyć.

29 maja 1943 r. w Malawszczyźnie (niedaleko Miru) wspólnie z kilkoma osobami złożył przysięgę i wstąpił do Armii Krajowej. Był uzbrojony w karabin Mosina. Po kilkudniowym marszu 13 czerwca 1943 r. dołączyli do oddziału, partyzanckiego, którym dowodził „Puszczyk". Wówczas szeregowemu O. Stankiewiczowi o pseudonimie „Kniaziew" przydzielono funkcję sanitariusza, gdyż wcześniej nieopatrznie przyznał się że umie robić opatrunki i zastrzyki, nieopatrznie, bo lekarz oddziału obarczał sanitariusza bagażem medycznym i torbą z osobistymi rzeczami. Funkcję szefa oddziału pełnił „Pietrow" – Piotr Kapica. Wg opowieści krążących w oddziale „Pietrow" był pierwszym polskim partyzantem na ziemi nowogródzkiej. Latem 1942 r. zagrożony aresztowaniem zbiegł do lasu. Uzbrojony po zęby walczył o przetrwanie. Później dołączyli do niego inni.

Przy pierwszej okazji O. Stankiewicz pozbył się funkcji sanitariusza, zostając amunicyjnym partyzanta, który obsługiwał ręczny karabin maszynowy. Musiał nosić dysk z nabojami i zapasową amunicję, a w razie potrzeby go zastąpić.

W połowie lipca 1943 r. odszedł „Puszczyk". Na jego miejsce przyszedł porucznik „Lech". Zaprowadził wojskowy dryl oraz nakazał zmienić rosyjskie pseudonimy na polskie. Dotychczas oddział używał „ruskich" pseudonimów i udawał „ruską" partyzantkę, by chronić ludność polską przed niemieckim odwetem. Teraz „Kniaziew" – pseudonim wzięty od nazwiska rosyjskiego jeńca, z którym pracował na traktorze w Mirze – powrócił do początkowego pseudonimu „Wacek". Jesienią utworzono Zgrupowanie Nadniemeńskie AK pod dowództwem „Lecha". Wtedy kompanię „Wacka" objął „Zych I".

Po ataku hitlerowskiej III Rzeszy na Związek Sowiecki, część żołnierzy Armii Czerwonej oraz aparatu partyjnego i administracyjnego, przysłanego z głębi Rosji, zbiegła do lasów. Na terenie przedwojennego województwa nowogródzkiego istniały dwa duże kompleksy leśne – Puszcza Nalibocka i Puszcza Lipiczańska oraz mniejsze lasy.

Sowieccy uciekinierzy tworzyli grupy, których celem nie była walka, ale przetrwanie. Często do nich dołączali Żydzi. Zaopatrywali się rabując miejscową ludność, towarzyszyły temu gwałty i zabójstwa. Charakter tych grup zmienił się w 1943 r. w wyniku zrzutów spadochronowych, nabierały one charakteru wojskowego. Polscy partyzanci nigdy nie otrzymali wsparcia z powietrza, broń musieli zdobywać na wrogu. Na ziemi nowogródzkiej Niemen rozgraniczał tereny opanowane przez „czerwoną partyzantkę" i oddziały Armii Krajowej. Na prawym brzegu Niemna rejon Szczuczyna, Bielicy, Żołudka, Lidy i Juraciszek znalazł się pod kontrolą polskich partyzantów; lewy brzeg opanowali Sowieci, a Puszcza Nalibocka stała się terenem ścierania się wpływów polskich i sowieckich.

W lipcu 1943 r. do oddziału, którego członkiem był „Wacek", doszły wieści o rozbrojeniu oddziału „Kmicica" i rozstrzelaniu jego dowódcy przez „ruską partyzantkę". Wkrótce zostali zaatakowani przez bandę „Griszki", a następnie w Posolu przez grupę „ruskich paraszucistów" – skoczków spadochronowych, kolejne starcie – w Mociewiczach. W Pasiekach starli się z Niemcami. Uniknęli kilku niemieckich obław. Ok. 1 lipca 1944 r. walczyli z Niemcami pod Trabą.

Olgierd Stankiewicz „Wacek" w lutym 1944 r. uczestniczył w odbiorze broni od Niemców. Partyzanci otrzymali ciężki karabin maszynowy, amunicję, granaty. Był to wynik cichego porozumienia „Lecha" z Niemcami. Na podjęcie takiej decyzji miał wpływ kilka czynników – Katyń, rozbicie Zgrupowania Stołpeckiego AK przez sowiecką partyzantkę i sowiecki rozkaz rozbrajania polskich oddziałów. Od stycznia do marca 1944 r. partyzanci otrzymywali broń, w tym czasie mieli się wstrzymać od atakowania Niemców. Broń ta była potrzebna do walki z „czerwonymi".

Wkrótce „Lech" otrzymał rozkaz zaprzestania walk z „ruską partyzantką" i zerwanie porozumienia z Niemcami. Po odmowie, nie chciał zostawić bez obrony polskiej ludności, stanął w marcu 1944 r. przed specjalnym sądem wojskowym i został skazany na śmierć, wykonanie wyroku zostało odroczone do końca wojny z prawem rehabilitacji na polu walki. Nastąpiła zmiana dowódcy – został nim „Kotwicz". Wówczas – jak wynika z relacji O. Stankiewicza – nic nie wiedziano o powodach oskarżenia, ani o wyroku. Historia spłatała figla, bo „Kotwicz" zginął pod Surkontami walcząc z oddziałem NKWD

W maju 1944 r. Olgierda Stankiewicza uhonorowano Krzyżem Walecznych na podstawie rozkazu Naczelnego Wodza z 3 maja 1944 r. Wkrótce partyzanci się dowiedzieli, że mają iść na Wilno (operacja „Ostra Brama").

6 lipca 1944 r. oddział partyzancki z „Wackiem" dotarł do majątku Szwajcary, znajdującego się 13 kilometrów od Wilna. Tego samego dnia wieczorem zaatakowali miasto od strony cmentarza na Rossie. Tutaj Olgierd Stankiewicz został ranny. Najpierw przebywał w szpitalu w Szwajcarach, potem w Kolonii Wileńskiej i prywatnej wilii lekarki w Wilnie.

Po aresztowaniu generała „Wilka" – komendanta wileńskiego okręgu Armii Krajowej i rozbrojeniu polskich partyzantów otrzymał kennkartę na nazwisko Ryszard Cydzik. W czasie masowych aresztowań polskich konspiratorów ukrywał się na terenie Wilna. Doszedł do wniosku, że jedynym ratunkiem jest armia Berlinga. Po sfałszowaniu dokumentu tożsamości został zarejestrowany, ale musiał jeszcze czekać dwa tygodnie, więc na gapę dołączył się do jakiegoś oddziału, który jechał do Białegostoku. Na miejscu takich

„ochotników z ostatniej obławy", jak siebie nazywali, było 20. Gdy „wojskowe UB" zaczęło wzywać na przesłuchanie, w obawie przed zdemaskowaniem zgłosił się do jednostki liniowej – artylerii. Okazało się, że był za słaby do obsługi dział i do zwiadu, ale zgłosił się na ochotnika do łączności, choć nie miał o tym pojęcia. Koleją wysłano ich do Izbicy, do 10 Brygady Artylerii Ciężkiej. W drodze trochę się poduczył i na miejscu egzaminowany z techniki łączności nie wypadł najgorzej.

Na terenie Niemiec ze swoją jednostką wojskową dotarł blisko Łaby, ale ich wycofano, gdy kilku żołnierzy uciekło do Amerykanów. Już po zakończeniu wojny, z grupą 20 żołnierzy, odkomenderowano ich do Torunia jako grupę ochrony koszar, gdzie miała stacjonować ich jednostka. W Toruniu zorganizowano szkołę podoficerską. Nie było chętnych, więc przeprowadzono przymusowy pobór, który także objął Ryszarda Cydzika, bo nadal pod tym nazwiskiem występował Olgierd Stankiewicz. Ze względu na ładny charakter pisma został wyznaczony na stanowisko pisarza wojskowego. W 1946 r. 10 Brygadę Artylerii Ciężkiej przemianowano na 71 Pułk Artylerii Polowej Rezerwy Naczelnego Dowództwa.

W czasie urlopów poszukiwał swojej rodziny. Odnalazł ją we wrześniu 1946 r. w Górze Śląskiej, poza ojcem, którego jeszcze w grudniu 1944 r. Sowieci aresztowali i wywieźli na Syberię. Ojciec dołączył do rodziny pod koniec grudnia 1948 r.

Olgierd Stankiewicz nadal posługujący się nazwiskiem Cydzik, został zdemobilizowany 3 marca 1947 r. w stopniu kaprala i przyjechał do Góry. Akurat ogłoszono amnestię, więc korzystając z okazji powrócił do swojego właściwego nazwiska.

Chciał pracować w wytwórni odbiorników radiowych Eltra w Dzierżoniowie i uczyć się w szkole zakładowej, ale ze względu na swą przeszłość miał niewielkie szanse. Jego kolega z Sopotu zaofiarował mu pomóc, ale skończyło się to niefortunnie wizytą funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa.

W Górze poszedł do pracy w magistracie w referacie podatkowym, licząc na otrzymanie mieszkania, które dostał. Przez kilka lat pracował jako rachmistrz w Rejonie Góra Śląska Zakładów Energetycznych Okręgu Dolnośląskiego, pełniąc funkcję kierownika referatu rachunkowego. Następnie znalazł zatrudnienie w Narodowym Banku Polskim w Górze, a potem w Państwowej Kasie Oszczędności też w Górze. Pełnił funkcję inspektora kredytowego. We wrześniu 1947 r. zaczął naukę w miejscowej szkole wieczorowej – Prywatnym Wieczorowym Gimnazjum o Ustroju Semestralnym, z prawami państwowych szkół średnich. W ciągu roku przerabiali dwa lata normalnej szkoły. Po ukończeniu nauki okazało się, że szkole odebrano prawa szkoły państwowej i musieli zdawać maturę ze wszystkich przedmiotów jako eksterniści w Legnicy. Na początku lat 50. krótko był uczniem Państwowego Technikum Budowlanego w Oleśnicy. Jednak czuł się absolwentem naszego górowskiego „ogólniaka", co pokazał pracując przy organizacji zjazdów absolwentów w 1958 i 1975 r. W 1955 r. ożenił się z Janiną Sokołowską. Wkrótce przyszedł na świat syn.

Udzielał się w pracy społecznej, m.in. w Froncie Jedności Narodu. Był zastępcą przewodniczącego Miejskiego Komitetu FJN w Górze (w 1963 r.), przewodniczącym MK FJN (w 1973 r. i wcześniej), członkiem Powiatowego Komitetu FJN (1973 r.). W czasie wyborów do rad narodowych i sejmu w 1969 przewodniczył obwodowej komisji wyborczej nr 1 w Górze. Nie należał do żadnej partii. Na ile mu siły pozwalały, opie-

kował się grobem Wandy Świętorzeckiej, członkini podziemnej organizacji antykomunistycznej.

Był miłośnikiem dobrej książki, zwłaszcza historycznej. Podczas wizyt w Bibliotece Pedagogicznej lubił je komentować, często też opowiadał o swojej wojennej przeszłości. Czytał bardzo krytycznie, a książki opatrywał wnikliwymi zapiskami: w swoich prywatnych egzemplarzach ołówkiem na marginesach, w pożyczonych – na dołączonych karteczkach. Jeszcze krótko przed śmiercią przeczytał publikację „Skąd przyszliśmy, kim jesteśmy" wydaną przez Towarzystwo Ziemi Górowskiej.

Od czasu do czasu parał się także piórem. Opublikował na łamach „Kwartalnika Górowskiego" dwa cenne artykuły wspomnieniowe: „Wspomnienia z lat 1946-1951 (nr 1) i „Wspomnienia z Góry lat 1945-50" (nr 11). Opisał swe partyzanckie dzieje we wspomnieniach zatytułowanych „Za Niemen", z których korzystałem przy pisaniu tego artykułu. W najbliższym czasie postaramy się je opublikować w „Kwartalniku Górowskim". Mimo podeszłego wieku opanował sztukę posługiwania się komputerem i serfowania po internecie, posiadał własną pocztę internetową. Dla młodego człowieka to żadna trudność, ale dla człowieka mającego ponad 80 lat to spore osiągnięcie.

Zmarł 17 września 2012 r. Pogrzeb odbył się 19 września 2012 r. na cmentarzu parafialnym.

Mirosław Żłobiński

♣ ♣ ♣ ♣ ♣ ♣ ♣

Przedstawiamy kilka fotografii z pierwszych lat działalności Koła Łowieckiego „Bór" zaczerpniętych z kroniki udostępnionej nam przez Jerzego Maćkowskiego.

Od lewej siedzą: Witold Calaba, *NN* Czwojda, August Herbst, Władysław Małek, Franciszek Maćkowski, NN; od lewej w drugim rzędzie stoją: Józef Juska, NN, Leon Michalski, Zbigniew Mrożek, NN, NN, Aleksander Mielnicki, Marian Zahorski, Eugeniusz Brzeziński, NN; od lewej
w trzecim rzędzie stoją: Edward Wirhanowicz, NN, Edward Baranowski, Jan Rosik, NN, NN, NN.

Dziękujemy Wilhelmowi Sokołowskiemu za pomoc w identyfikacji osób uwiecznionych na zdjęciu.

Myśliwi, 1958

Polowanie na zające, 1958

Dokarmianie

Strzelnica Łękanów, 1960

Wronów, koniec sezonu 1961

Zarząd Koła Łowieckiego „Bór"
w Górze
ma zaszczyt zaprosić
Ob. .....
z rodziną
na Doroczną Zabawę Myśliwską
która odbędzie się dnia 14 stycznia b.r.
w Hali Sportowej (stadion)
Początek zabawy o godz. 19-ej
Wstęp za okazaniem zaproszenia.

1961

Zabawa, 1961